



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 30.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Zatem znowu Maj, miesiąc fijołków, róż i słowików, miesiąc kochanków i poetów, kurecząt i szparagów, liryzmu i mizeryi, (która tak często bywa synonimem pierwszej), raków i projektów wszelkich, (które tak często podobne są do tamtych, bo się cofają, zamiast iść naprzód), miesiąc majówek i zaliczek, (bo jakże bez nich opędzić koszta letnich sprawunków!...).

O Maju, ileż w tobie kontrastów poezyi i prozy, idealizmu i materyalizmu, światła i cieni,—o Maju!...

Kiedy pomyślę o tym Trubadurze i smakoszu całego roku miesiący, uśmiecham się jedną a krzywię się drugą połową twarzy; i nie ja jeden doznaję tych połowicznych uczuć, ale chyba każdy ojciec rodziny, na którego głowie i kieszeni opierają się wszystkie sezonowe obowiązki od... słomianych kapeluszy, lekkich okryć i parasolek aż do willegiatury.

Oj, Maju, Maju!...

Najwcześniejszy zastęp letników formuje obecnie filantropia; komitet, w którym Dr Markiewicz po znacznej pamięci Dr Fritschem objął piękną tradycyą, ale i moźliwe obowiązki, opiekuna biednych charakterów i mizerotek warszawskich, zajmuje się właśnie wyborem i tworzeniem pierwszych oddziałów słabowitych letników, których ma wysłać na powietrze-mleczną kuracyą.

Kandydatów zgłosiło się tysiąc dwieście, ale zaledwie połowę będzie można w tym roku pomieścić na wszystkich koloniach; dlatego tylko najuboższych, najsłabszych, najbardziej potrzebujących odżywienia wybiera się z ogólnej liczby.

Dla maleństwa tego potrzeba sukienek, przyo-

dziewku, bielizny, obóvia po większej części, bo to drobiaż i słabowity, i biedny, więc komitet o odzież odwołał się do miłosierdzia i ofiarności publicznej.

Kto ma trochę starzyzny nieużytecznej—a w którym domu, gdzie są dzieci, nie znajdzie tego?—ten może zrobić dobry uczynek i zostać tak tanim kosztem filantropem maluczkich, posyłając do którejśkolwiek redakcyi, jeśli nie wprost do komitetu, stare sukienki, buciki, koszulki etc. etc.

Wszystko z wdzięcznością będzie przyjęte.

Dla zasilenia funduszu „kolonialnych“ (jak poważnie brzmi ten wyraz, a jak, niestety, w liczbach marnie się jeszcze przedstawiał) p. Maryan Olszewski, przełożony zakładu gymnastycznego przy ulicy Kalixta, urządził w niedzielę popis swoich uczniów i uczennic za biletami płatnemi. Z tych dwudziestówek, które oznaczono za wstęp od osoby, zebrać się może jeszcze fundusik, na wysłanie kilkorga dzieci.

Pójdźcież i pomóżcie dobremu celowi, a przy tej okazji zobaczcie, jakie wyniki dają ćwiczenia ciała w młodem pokoleniu.

W ostatnich czasach zaczęliśmy nad wyrobieniem muskułów gorliwiej pracować, i powiedzieć można, że od czasu założenia Towarzystwa wioślarskiego w Warszawie rozwinął się wszelaki sport i rozwija coraz pomysłniej.

Wyhodowaliśmy przecież z miejscowych sił kilku atletów, pomiędzy którymi znajduje się niezwalczony Herkules... Pytlasiński.

Co do gymnastyki, to od automatycznego podnoszenia i wyginania członków, doszła ona dzisiaj do całej, bardzo obszernej teoryi, opierającej się na fizjologii i higienie, a ostatnie badania nad nią rozjaśniły wiele z gruntu fałszywych poglądów na bezwzględne ćwiczenia mięśni: między temi np. stwierdzono, iż dla ludzi pracujących umysłowo nie każdy rodzaj gymnastyki jest właściwym i skutecznym, że więcej szkody, niż pożytku przyniesie może, jeśli jest nieodpowiednio zastosowany.

Natura sama instynktownie ostrzega o tem, gdyż ludzie pracujący dużo mózgiem mają najczęściej wstręt do ćwiczeń cielesnych; podwójny wysiłek, mięśniowy i umysłowy, nie sprawia im przyjemności i niszczy jeszcze bardziej wyczerpany i tak pracą organizm.

Nie rozstrzygam tej kwestyi, jako niespecjalista, powtarzam tylko poglądy obcych uczonych, jak np. Dr Lagrange'a, w tej nader ważnej i zajmującej sprawie.

Sportsmenom naszym przybył od roku zeszłego nowy zakład przy ulicy Ś-to Krzyżkiej, w którym mogą się kształcić w rycerskim rzemiośle, mającym odwieczną tradycyą, mianowicie w fechtunku.

Pan Michaux, syn znanego i niegdyś bardzo popularnego poety Mirona, wykształciwszy się we Francyi na dzielnego specjalistę w szermierce, otworzył własną *Salle d'armes* w Warszawie i uczy władać sieczną bronią rozmaitych zuchów, pragnących rozwinąć w sobie muskuły, zręczność i odwagę.

W zeszłym tygodniu byłem w zakładzie p. Michaux na pierwszym popisie jego uczni, którzy na florety bili się, jak jacy margrabiowie z czasów Ludwika XIV-go; między nimi widziałem dziesięcioletniego chłopaczka, który bronią niewiele mniejszą od siebie robił tak wprawnie, jak gdyby w łonie matki rozpoczął już brać lekcye fechtunku.

Na przyszły rok zapewne grono szermierzy się powiększy i nie tylko same florety popisywać się będą, ale wystąpią i rapiry, i pałasze, i laski; pan Michaux bowiem uczy obchodzić się z wszelaką bronią sieczną, kolącą, bijącą, nie wyłączając nawet broni przyrodzonej każdego człowieka, jaką jest kułak.

Boksowanie wchodzi również do programu zakładowego.

Z dziedziny sportu muszę też zanotować fakt położenia kamienia węgielnego pod nowy klub cyklistów, który sobie budują nasi sprężyści na Dy-

nasach, w ślicznym położeniu, nieopodal od głównej arterii miejskiego ruchu, poza Sewerynowem.

Będą mieli swój lokal letni i zimowy, swój własny teren do ćwiczeń i nauki, swój własny park, niemalym kosztem zakładany obecnie, swoją sadzawkę, po której w lecie łódkami a w zimie na łyżwach krążyć będą członkowie klubu.

Cyklisto, czegoż chcesz więcej?!

Wpłyń to wszystko zapewne na jeszcze większy rozpad kołowy pomiędzy miłośnikami sportu à la Fortuna i przyczyni się do większego spopularyzowania towarzystwa.

Szkoda, że inne stowarzyszenia nie mają podobnych środków przyciągania i utrzymywania swoich członków; możeby na tem zyskały cele i interessa instytucji, które poważniejsze obrały sobie zadania, niż rozrywka przyjemna i pożyteczna.

Oto istnieje np. od lat kilkudziesięciu u nas Towarzystwo wzajemnej pomocy muzyków, o którym ehyba sama dziatwa Apollina nie musi dużo wiedzieć, skoro pozwala mu zaledwie wegetować w ukryciu.

Towarzystwo to zapewnia swoim członkom po latach dwudziestu emeryturę w wysokości 75, 120 lub 180 rs. rocznie, zaś po sześciu prawo do zapomogi w tymsamym stosunku na wypadek choroby lub utraty zdolności do pracy.

Wkładki miesięczne wynoszą od pół rubla do dwóch rubli, członkiem zaś może zostać, nietylko każdy muzyk z zawodu, ale każdy miłośnik muzyki, byle miał tylko świadectwo lekarskie, że pod względem zdrowia nie jest poważnie zagrożony.

Prezesem komitetu jest p. Leopold Kronenberg; majątek towarzystwa wynosi przeszło 45.000 rs., i co roku powiększa się z remanentów po wypłaconiu emerytury pięćdziesięciu kilku emerytom i rozdaniu zapomogi potrzebującym członkom.

I cóż myślicie, na tyłu artystów, grajków orkiestrowych, chórzystów, śpiewaków, guwernantek, nauczycieli i nauczycielek muzyki, uczniów konserwatorium, i t. p., iluż członków liczy to towarzystwo emerytalne, dające zapomogi stałe nawet żonom i dzieciom stowarzyszonych po ich śmierci?..

Przypuszczacie, że tysiące?.. nie, tylko około dwustu.

A wiecie, ilu z tych dwustu zeszło się oprócz komitetu na ogólne doroczne zebranie, ogłoszone poraz drugi w zeszłą niedzielę?.. nie zgadujecie, bo każde minimum zawsze będzie jeszcze za małe wobec tych trzech poczciwców, którzy reprezentowali na walnym zgromadzeniu całe stowarzyszenie.

W zeszłym roku komitet kazał wydrukować poprawioną Ustawę i rozdał ją w tysiącach egzemplarzy; do samego Schronienia Nauczycielek posłał podobno jedną czy dwie setki, licząc na to, że ztamtąd najłatwiej będzie móc zwabić członków z pomiędzy pań, co dają „lekcye fortepianu“, a którym na starsze lata przydałaby się emerytura.

Rezultat był taki, że ogółem wciagu roku zeszłego członków przybyło aż 28.

Jakże wobec podobnych faktów śmieszniemi wydają mi się frazesy o duchu associacji, o potrzebie nowych instytucji, o przeczności i obowiązkach względem własnej przyszłości, o zabezpieczeniu bytu sobie i swoim rodzinom, etc. etc.

Szum, szum i szum pustych słów, które w praktyce pryskają jak bańki mydlane...

Możeby Towarzystwo wzajemnej pomocy muzyków rozdawało członkom dla większej zachęty, katarzynki, arystony, tabakierki grające, oocariny, i t. p. instrumenta, na których-by muzycy z powołania, jako też amatorowie muzyki mogli wygrywać kawalki z „Wieszczki lalek“ lub „Ptasznika z Tyrolu“, albo z „Miss Helyet“, najnowszej mascoty Teatru nowego przy ulicy Królewskiej. Kto wie, czy też ten środek więcej od przeznaczanej emerytury nie pociągnąłby ludzi „przezornych“ do zapisywania się na listę członków i zabezpieczania sobie przyszłości?

Co prawda, po co my mamy myśleć sami o sobie, kiedy łaskawe nieba od czasu do czasu przysyłają na ziemię jaką poczciwą duszę, która nabierawszy sporo tej marnej mamony, oddaje wszystko, albo znaczną jej część, potem bliżnim

swoim w tak zwanych fundacyach dobroczynnych, zapomogach, ofiarach lub wsparciach?

Po co my mamy myśleć o naszych rodzinach i losie naszych wdów i sierot, kiedy po naszej śmierci znajdzie się znowu ktoś, co urządzi składkę, albo koncert, albo widowisko jakie i naprawi naszą niezadanie lub lekkomyślność względem naszych pozostałych!

Łaskawe nieba przecież nie nadarmo stworzyły filantropów, szanowną P. T. Publiczność, biuro nędzy wyjątkowej, Towarzystwa Dobroczynności i rozmaite czule serca a hojne ręce.

Ktoby się tam kłopotał o jutro, skoro tylko dzisiaj do człowieka należy!..

Manfred wprawdzie utrzymuje, że terazniejszości niema żadnej, bo każda chwila staje się przeszłością natychmiast, ale Manfreda zdyskredytowała tak nasza krytyka, że go nikt słuchać nie chce, odkąd rozgłoszono, że jest ciężki i nudny, pomimo świetnego wschodu słońca w Alpach, pałacu Arymana, złych duchów na scenie i muzyki Schumanna.

Czemu ten biedny Byron nie pisywał komedij, nie starał się ludzi bawić i rozśmieszać, zamiast karmić ich poezją i wielkimi myślami.. byłby miał i uznania, i popularności więcej, przynajmniej u nas.

Gdyby żył dzisiaj i pisał, nie byłby zapewne na żadnym konkursie dramatycznym wziął nagrody, a dyrektorowie teatrów uciekaliby przed nim, jak przed „piłą“, zbywając go zapytaniem:

— Nie ma też szanowny pan coś lekkiego, wesołego, jakiejś „bombki“ z muzyką i tańcami?..

Poszukiwanie takiej amunicyi wzrosło właśnie teraz w przededniu otwarcia ogródkowych teatrzyków, które wybierają się już do Warszawy na letnią kampanię i gromadzą jaknajwięcej hucznych, chociażby pustych, nabożów.

Będziemy mieli trzy czy cztery letnie scenki, oprócz teatru w Ogrodzie Saskim i przy ulicy Królewskiej.

Opera tylko zamilknie na całe dwa miesiące, ale przedtem odezwie się w niej podobno Mierzwinski, któremu Dr Heryng wyrestaurował tak całe gardło, że sprowadził się do niego napowrót wszystkie trzy czy cztery oktawy, jakimi „król tenorów“ przygłuszał orkiestry najpierwszych teatrów europejskich.

Mieliśmy usłyszeć Reszków po powrocie z Ameryki, lecz jak się zdaje, warszawscy melomanie prędzej zobaczą swoje ucho, niżeli kiedy usłyszą niem słynnych braci śpiewaków.

Reszkowie dla nas występują dotąd jedynie w roli... sportsmenów, gdy na tor wyścigowy wprowadzają swoje konie.

Przed zamknięciem Teatru Wielkiego i Rozmaitości, zobaczymy jeszcze włoską trupę dramatyczną, Sign. Maggi, która zjechała do nas na kilka gościnnych występów.

Po Rossim, Meiningerczykach nie łatwo jej przyjdzie zaimponować grą i wystawą, tem bardziej, żeśmy pod tym względem stali się już znacznie wybredniejszymi i mamy wyższą skalę porównań i wymogów.

Dla teatromanów całego świata zaczyna się od soboty w stolicy naddunajskiej szereg sensacyjnych schadzek; w dniu tym otwartą zostanie wiedeńska wystawa powszechna Talii i Melpomeny. Przez całe lato aż do jesieni popisywać się będą tam rozmaite sceny, talenta dramatyczne, wszystkie rodzaje sztuki teatralnej, a w obfitym programie znalazło się miejsce i dla naszej komedii i dramatu.

Cztery przedstawienia w pierwszych dniach września komitet wystawowy oddaje scenom polskim; scena warszawska w swoim najcelniejszym komplecie ma być tam również reprezentowaną.

Do tej pory postanowiony i zatwierdzony został jedynie udział naszych artystów w dwóch widowiskach, ale wyboru sztuk nie zrobiono jeszcze.

Trudna to sprawa: nie pokrzywdzić zmarłych a nie podrażnić żółci żyjącym naszym dramaturgom.

Zmarli koryfeuszowie naszej literatury dramatycznej nie zmartwychwstaną, niestety, z oburzenia, gdyby ich pominięto, ale żywi gotowi się co najmniej rozchorować, gdyby jednemu dano pierwszeństwo przed drugim.

Ze względu wszelako, że wystawa wiedeńska jest głównie wystawą teatralną, raczej popisem talentów aktorskich, niż sztuk i repertuaru, powinnyby tam być wystawione utwory swojskie najlepiej grane, a nie najcelniejsze w literaturze. Nie chodzi bowiem o zadowolenie ambicyi autorskich, tylko aktorskich w tym wypadku; rozumie się, iż najwłaściwszem rozwiązaniem kwestyi byłoby pogodzenie obu tych celów.

Na zebraniu literacko-artystycznym z udziałem delegata komissji wystawowej Dra Alfreda Nossiga, który bawił czas jakiś w Warszawie, wybór sztuk oddano pod rozstrzygnięcie reżyserji sceny Rozmaitości i samych aktorów.

Może to i najlepsze wyjście z kłopotliwego położenia.

Vederemo.

* * *

Nekrologia nasza wzrosła w ostatnich czasach; przybyło naraz prawie kilka krzyżyków przy nazwiskach ludzi znanych i mniej lub więcej zasłużonych. Sztuka straciła artystę niezwykłego talentu i oryginalnej indywidualności w *Wilhelmie Leopolskim*, który prawie w ostatniej nędzy zakończył życie na szpitalnem łożu w Wiedniu.

Jego „Zgon Acerna“, „Klucznik Gerwazy“, „Żydzi“ i wiele innych obrazów swojego czasu wyrobiły mu rozgłos i uznanie; niezadowolony z siebie i ze świata, rozgoryczony szedł przez życie z wyższymi aspiracyami, którym nie dostawało sił i warunków odpowiednich.

W Krakowie znów położył się do grobu profesor *Szymalewski*, malarz starej szkoły, starej daty, talent twórczy mniejszy, ale zdolność i pracowitość wielka w traktowaniu sztuki a zwłaszcza w kierunku pedagogicznym; był nauczycielem rysunków i uprawiał „antyk“ w Krakowskiej Szkole Sztuk Pięknych.

W literaturze straciliśmy wykształconego muzyka, monografistę Szopena, *Maurycyego Karasowskiego*, który piórem i smyczkiem zdobywał sobie rozgłos swego czasu; był dzielnym wiolonczelistą niegdyś w orkiestrze opery warszawskiej, a następnie drezdeńskiej. Pisał o muzyce ze znanstwem i zamiłowaniem przedmiotu, pozostawił szczególnie dwa dzieła, które mu poczesne miejsce zapewniły w naszej literaturze: „Historya opery“ i życiorys dwutomowy Fryderyka Szopena, w którym genialnego artystę i kompozytora, jako muzyka i człowieka zcharakteryzował.

We Lwowie znów zmarł podobnie nagle, jak Karasowski, *Sygnurd Wisniowski*, głośny swego czasu podróżnik po Ameryce i Australii, typ swojego Robinsona Crusoe, który od siedemnastego roku życia do dojrzałych lat mężnie tłuł się po świecie, dwa razy odbył podróż dookoła świata, na okrętach służył za majtka, w dziewięciu latach kopał złoto, zakładał fermy, organizował wyprawy kolonizacyjne, posłował na sejmy za Oceanem, był dziennikarzem amerykańskim i literatem polskim.

Przed laty szesnastu bawił w Warszawie i pracował w „Tygodniku ilustrowanym“, „Wędrowcu“, „Kłosach“, ale życie spokojne, na bruku miejskim nie dogadzało mu: wrócił do Stanów Zjednoczonych i dopiero spadek znaczny po ojcu sprowadził go znowu z za morza i zmusił do osiedlenia się w Galicyi, gdzie ruchliwa jego natura znalazła sobie zajęcie w przemysle, przedsiębiorstwach fabrycznych i kopalniach nafty.

Dopóki jeszcze piórem się zajmował, napisał sporo artykułów, opowiadań, wspomnień, z pomiędzy których dwutomowe dzieło p. t.: „Dziesięć lat w Australii i powieść „Dzieci królowej Oceanii“ najgłośniej spopularyzowały jego nazwisko.

W Krakowie zmarł pracowity bibliograf *Maurycy Stankiewicz*, były bibliotekarz Akademii Umiejętności, księgarz z zawodu, człowiek młody jeszcze, który zbierał materyały do studyów literackich i bibliograficznych, lecz nie miał więcej czasu do szerszego ich użytkowania.

Zostawił kilka prac pożytecznych po sobie.

Wspomnieć wreszcie należy mi o *Władysławie Kronenbergu*, średnim z trzech synów znanego finansisty Leopolda, założyciela głośniejszej firmy ban-

kierskiej i twórcy milionowej fortuny. Nieboszczyk wycofał się z interesów i prowadził życie spokojne w zaciszu domowym, w kole rodzinnym; spekulacje finansowe i przedsiębiorstwa przemysłowe nie zajmowały go długo. Był wielkim miłośnikiem muzyki i komponował pod pseudonimem Władysława Wieńca; sztuka obchodziła go żywiej i słodziła niejedną życiową przykrość i dolegliwość człowieka schorzałego, zamkniętego w sobie, zimnego napozór dla świata...

Pokazało się jednak, że tak, jak za życia umiał odczuwać głębiej cudze potrzeby i pociechu im pomagać, tak samo po śmierci jeszcze zostawił dowód zacnego serca, przeznaczony do kształcenia się na dobrych rzemieślników i służyć na zakupywanie dla nich warsztatów, gdy dorosną.

Ten piękny i rozumny zapis przekazuje nazwisko Władysława Kronenberga wdzięcznej pamięci ogółu i sierot wychowywanych pod opieką Towarzystwa Dobroczynności.

Quis.

ZYWEMU BOGU.

Do Ciebie drżące wyciągam ramiona,
Słuchając głosu twojego w naturze,
Co, myślą twoją opromieniona,
Jestestw tonami zgodnemi
Śle hymn dziękczynny, który gdzieś w górze,
Za krańce wzbiwszy się ziemi,
Ku Tobie płynie.

W piersiach Natury Tyś wiecznie żywy!
Tak, jak w stworzenia godzinie
Przed lat tysiędem,
Tworzysz cuda, tworzysz dziwy
Miłości technieniem gorącym.
Serce prostaczków i duch poety
Wszędzie w naturze odczuć Cię może,
Tylko w niejednej piersi, niestety,
Piersi człowieczej, skonałeś, Boże!

Jedni dla nędznych okrucich chleba,
Trawieni głodem, usty spiekłemi
Głośno się Ciebie zaparli i nieba;
Drudzy, za złotem w ciągłej pogoni,
Tak przyrosli do tej ziemi,
Że nawet w sennem marzeniu tych ludzi
Niebieska piosnka nigdy nie zadzwoni,
Z marzeń o złocie nigdy ich nie budzi.
Inni, w wielkiem poczuciu swej dumy,
W ślimaczej zamknięci skorupie,
Mając jak sztylet ostre rozumy
A piersi trupie—
Szyderstwem Ciebie potrzykroć przeszli.

O, powstań z martwych w duchu tych nędzarzy,
Jak zmartwychwstałeś w tej chwili,
Gdy rozkład ducha dotknął pierś człowieczą
I świat, konając, pożałował Ciebie!
Niech się pochodnia miłości rozżarzy
I dziś na chmurnem dni ludzkich niebie,
Niech jej promienie znowu świat uleczą
I samolubstwa stopią obroże!

Błagamy Ciebie my, prości,
O powstań z martwych, Boże,
Powstań, ideo miłości!

J. Nitowski.

EMANCYPACJA KOBIECY.

(Dokończenie).

Liczba małżeństw zmniejsza się coraz, a jest to rzeczą pewną, bo na zasadzie liczby dowiedziona, że stan ten smutny i nienaturalny zaznacza się silnie w krajach wyższej kultury, wyższej cywilizacji, co musi z konieczności naprowadzać na myśl, że w owej kulturze, w owej cywilizacji nowoczesnej tkwi coś, co naturalny porządek miesza. Według mego przekonania dużo tu znaczy zmniejszona pracowitość kobiety jako gospodyni — jako pracowniczki u domowego ogniska. Wzmógł się przemysł, przy udoskonalonych środkach komunikacji wzmógł handel podsuwa matkom rodzin, naczelnikom domu na zaspokojenie potrzeb rodziny towar rozmaity, który niegdyś był wyrabianym w domu, tak przez kobiety do rodziny należące, jak i przez robotnice płatne, a choć może nie był on w gatunkach swoich tak doskonałym, jak to, co obecnie przedstawia fabryka, ale kosztował taniej, a obok pracy członków rodziny zajmował wiele rąk niewieści, i nie było takiego, jak dziś, braku pracy, takiego rozpaczliwego jej poszukiwania przez kobietę.

Z oszczędniejszą skalą życia łączyła się też ta rzecz najwyższej dla społeczeństwa ważności, że tworzyło się więcej ognisk domowych, bo mężczyzna mógł śmiało je zakładać przy mniej znacznych kosztach utrzymania rodziny, i w stosunku do szczęścia te czasy mniej wykwinętego obyczaju były czasami złotymi. Należy też to do moich przekonań najsilniejszych, że powrót kobiety do dawnej gospodarności, do dawnej pracy domowej, ułatwionej dziś bardzo przez wiele nowych jej narzędzi, zapewniłyby szczęście tysiącom tych samotnych córek rodzin średnio zamożnych, które obecnie muszą iść przez życie o siłę własnej i szukać rozpaczliwie pracy na zarobek, więc pracy z natury rzeczy bardzo zależnej, choć niby samodzielnej i niewątpliwie więcej krępującej, niż najcięższa z tych, które kobieta dawniejsza spełniała w rodzinie „len przedząc, domu strzegąc“. Szuka też kobieta dzisiejsza wyjścia z tego stanu, do którego przecież, jak autorka niemiecka słusznie twierdzi, przyczynia się bardzo emancypacja kobiety, pojęta przez dumne odrzucanie owego strzeżenia domu, przedzenia lnu na koszt rodziny. Rzecz ta przedstawia się już dzisiaj tak poważnie, że staje się kwestyą bieżącej chwili, i oto *Stowarzyszenie Kobiet Niemieckich* „pragnąc zapobiedz rozszerzeniu się staropanieństwa“, które stawia się klęską kobiety z klas średnich, odzywa się do niej przez organa prasy, aby, naśladowując kobietę z ludu, umiała być robotnicą, będąc małżonką.

Wspomniane Stowarzyszenie, jak i wiele innych niemieckich związków niewieści, wzywa też kobiety za pośrednictwem organów prasy, aby kształciły się inaczej, niż dotąd — aby przez wyższe studia naukowe uzdalniały się do tych zajęć różnych, które aż do tego czasu były wyłącznie udziałem mężczyzny, a to z myślą, iż mężczyzna ten stanie się skłonniejszym do zawierania związków małżeńskich, skoro żona przychylni się też do utrzymania rodziny zapracowanym przez siebie groszem. Na papierze może się to tak wydawać komuś niedoświadczonemu, ale w praktyce życia podnosi się przeciwko temu względ niejedno bardzo ważnego znaczenia — kto wtedy będzie wychowywał dziecko, któremu nikt i nigdy nie zdoła zastąpić matki, bo nikt i nigdy czuć tu nie zdoła takiej tkliwej, poświęconej miłości, która już dla tego najwięcej zdziałać może, że jest wzajemną? Dziecko wynosi z wychowania macierzyńskiego skarb jeden ogromny: siłę uczucia, przez którą człowiek staje się zdolnym do szlachetnych czynów poświęcenia i tych cnót wszystkich, które opierają się na miłości. Małżeństwo jest i było odwiecznie współką pracy, ale z tym jej zasadniczym dla szczęścia i moralności podziałem, że mąż za domem, żona w domu pracować będzie.

Gdy jest inaczej, jest źle, i tylko taka już ostateczna potrzeba, jak chleb dla ust, którym go brakuje, może usprawiedliwić pracę mężatki na zarobek, zwłaszcza pracę poza-domową, która nietylko odrywa ją od dziecka, ale sprawia, iż ta robotnica, zmęczona równie, jak i mąż, już mu dać nie może tych starań tkliwych, jakich tu potrzeba, aby pozycie małżeńskie odpowiadało celowi swojemu. Autorka rozumnie też zalicza poza-domową pracę mężatki do niebezpieczeństw emancypacji kobiecej, dodając tu jeden jeszcze i bardzo ważny argument, że wzrost w tym kierunku owej pracy kobiecej nietylko nie pozwala jej być dobrą żoną i matką, ale zarazem zagradza kobiecie drogę do małżeństwa przez zwiększoną konkurencją, którą kobieta stawia mężczyźnie, potrzebującemu pracować, aby mógł się żenić...

Mill od lat wielu ostrzegał o tem, że zarobkowa praca kobiety w tym samym kierunku, co praca mężczyzny, tak zniży pracy tej cenę, że to, co mężczyzna zarabiał niegdyś sam jeden, obecnie zarobi ledwo ich dwoje, bo pracy nie może przybywać dlatego, że jest żądań jej więcej. Obok tego kobiety pracującej poza domem koniecznie w domu braknąć musi, musi zatem być ktoś, co ją tutaj zastępować będzie, tak w wychowaniu dziecka, jak i w tej pracy gospodarczej, która w zakresie ekonomicznym ma dla rodziny znaczenie niemałe. Każdy, kto tu nad tem zastanowi się choćkolwiek, zrozumie, że inaczej być nie może: kobieta pracująca poza domem, potrzebuje zastępstwo to opłacić, i Mill dodaje też, że „jeżeli środkiem utrzymywania rodziny nie jest procent od posiadanego kapitału, ale dochody z pracy, z zarobku jej otrzymywane, najwłaściwszą jest rzeczą, aby na zasadzie podziału tej pracy mąż na utrzymanie domu, na chleb rodziny zarabiał, a kobieta domu tego gospodarstwo pracowicie prowadziła“.

Tego, że Mill do zacofanych nie należy, dowodzić nie potrzeba; że przecież znaczenie ekonomiczne gospodarczej pracy kobiety rozumie, bo szczęśliwość podsumowywać umie, nie widzi w tem dla rodziny żadnych zwiększonych środków utrzymania, aby mąż pracował na zarobek, lecz drugostronnie dostrzega tu straty znaczne. Kobieta żona, kobieta matka ponosi je w wadze i znaczeniu takim, że przez żadne inne nabytki nagrodzonemu być nie mogą. Małżeństwo, macierzyństwo, nakłada na kobietę obowiązki wagi takiej, iż ta, która się im w całości oddać nie chce, niech zamąż nie idzie. To jej wolno, ale gdy raz przyjmie na siebie obowiązki rodzicielki i wychowawczyni, spełniać je powinna pod karą najcięższej odpowiedzialności, jaką człowiek obarczyć się może.

Wychowanie dziecka jest najważniejszą sprawą rodziny, lecz nie dla celów tej rodziny jedynie. Rodzice chowają dzieci swoje dla świata: dla społeczeństwa, dla ludzkości, i kobieta, w której ręce wychowanie złożone zostało, jest urzędnikiem publicznym, jak się wyraża rozumnie pedagog francuzki Gervé. Szkole oddać się matka musi, ale przygotowanie dziecka do tej szkoły w jej ręku spoczywa: ona dobrego lub złego ucznia tworzy, bo ona dziecku uczucie powinności zaszczerpia, i, jak wspomniany pedagog twierdzi, służy tu dobru ogólnemu, co nie dziś dopiero pojęciem, zrozumianem zostało. Napoleon I-szy zapytał raz M-me Campan, przełożoną nad państwową szkołą S-t. Germain, wzniesioną dla córek ludzi dobrze zasłużonych Francji: czego potrzeba, aby wychowanie podniosło się i przysporzyło krajowi dobrych, rozumnych obywateli? — Matek... odpowiedziała zapytana, a on zawołał, że w tym jednym wyrazie zawiera się cały systemat wychowania człowieka. Ważność wychowania rozumieją wszyscy ludzie, którzy się sprawą postępu ludzkości zajmują, i niedawno austriacki minister oświecenia wypowiedział z mównicy parlamentarnej tę prawdę, że najważniejszą sprawą państwa w zakresie oświaty kobiecej jest kształcić dobre matki — kształcić w nich wychowawczynię. Michelet wyraził niegdyś to samo pisząc, że „wszyscy wielcy ludzie są synami matek swoich“ to jest, noszą na sobie piętno tego odbicia moralnego, które matka dziecku daje. Zdolności, skłonności pewne przynosi człowiek ze sobą, w duszy swojej złożone, ale wychowanie, to wychowanie moralne,

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Dwie pierwsze godziny ze względny jęszcze spokojem oczekiwała Zosia na męża; przez dwie następne była niezwykle rozdrażniona. Daremno chciała skupić uwagę całą na zaczętej robotę w krosnach—przeszkadzały jej myśli jakieś, które z nieznanych stron nadpływały i w nieznanym ginęły gdzieś morzu. Przerwana praca niedobrze jej szła: źle dobierała kolory, myliła się w cieniach, niejednokrotnie włóczka jej pękła albo się z igły wysnuła. Wyszywała papugę (na poduszkę przeznaczoną do gabinetu Zygmunta), siedzącą na berle koło piękności jakiejś zasłuchanej w śpiewie stojącego pod oknem hiszpana; ale papuga bezbarwnie wyszła, piękność nie była pięknością a trubadur brzydkim grymasem twarz miał skrzywioną. Nieśfornie dzisiaj szła jej robota; to też zrywała się co chwila i biegła do okna, patrząc na lukowate sklepienie pięknej lipowej alei.

Cicho było w komnatach — na dworze cicho! Wiatr ustał, białe płatki śniegu sypały się coraz gęściej, równiej; były puszyste, miękkie, zimne. Uzuła chłód, i to chłód gdzieś w głębi duszy—jakby aż tam doleciały tych kilka płatków śniegu i na dnie się układało.

Spojrzała w niebo: było przepelnione tym puchem lekkim, białym, który z wyżyn niedojrzanych leciał cicho, spokojnie i grubą warstwą siał się na ziemi. Zwróciła spojrzenie na tunel lipowej alei—i myśl jej pobiegła daleko...

Przypomniała sobie bał w Brzezynie, piękną Natalią, i błędzące za nią spojrzenia Zygmunta. O! widziała jakimi rozmarzonymi oczyma patrzył na nią, a jednak żadnej trwogi nie czuła, tak była pewną jego serca. Dlaczego dziś to wspomnienie ukłóło ją?...

Brzezina... szambelan... Natalia!

Przeszło wszystko!

Opuszczając jednak gościnny dom szambelana, Zygmunt był smutny; ona myślała, że zmęczony tylko. Przez całą drogę nie przemówił do niej słowa, a jeżeli się odezwał, to krótko i szorstko. A wczoraj?...

Co było wczoraj?

Przytulił ją do piersi, ale z jakąś gorączką niezwykłą—i wyszedł pośpiesznie. Dzisiaj nie powiedział jej nawet „dzień dobry“. Wstał rano i wyszedł tak cicho, że nawet czujne jej ucho nie dosłyszało kroków zbiega. Uplynęły już cztery godziny, śnieg grubą warstwą zastał ziemię... Zygmunt nie wraca: czy tak smutno!...

— Dzieciństwo! — myślała. — Po kilku miesiącach zabaw i gorączkowo spędzonym życiu natura mści się znużeniem. Tak! to nie innego! Niezdrową się czuje—tak! Nawet łzy napływają do oczu... ze znużenia!

Ach! ten Zygmunt!

W przedpokoju dały się słyszeć kroki.

Zosia odskoczyła od okna. Przed chwilą oczy smutne i zażawione radością błysnęły, na usta uśmiech wybiegł. Już miała we drzwi się rzucić na spotkanie wchodzącego, lecz zatrzymała się w pół drogi. Jakaś myśl dawnej wesołej Zochny przez czoło jej przeleciała: uniosła się na końcu stopy, małe paluszki prawej ręki do ust przyłożyła i zrobiła znaczący ruch głową.

— Przybiegałam do ciebie nieraz, gdy kaprysiłeś—szepnęła—teraz ty musisz przyjść do mnie!

Drzwi się już otwierały... Zosia jak wiatr wionęła przez pokój, pierwszy od sieni, wpadła do saloniku i usiadła napowrót przy krosnach, udając zajęcie. Oddana psotnej myśli, zapomniawszy o bólu, który już przeminął... tylko serce jej biło nadzieją wygrania dobrej sprawy, spędzenia brzydkich chmur z pięknego czoła Zygmunta. Zaczęła szyc

szybko, nie zważając już zupełnie na dobór kolorów. Rumięnce rozmarzonego hiszpana błękitem się powlokły — lecz cóż to obchodzić ją mogło wobec ważności zbliżającej się chwili?

Skalski wszedł do salonu, zobaczył Zosię zwróconą do drzwi wchodowych plecyma, schyloną nad robotą. Zatrzymał się. Zosia była pewną, że zbliża się do niej na palcach, niosąc mający ją nastrozyć pocałunek. Przygotowała się do krzyku — uśmiech drga na jej ustach... Chwila, pół chwili — poczuje usta Zygmunta na swym karczku, który się mimowoli ugina. Zadługo coś się zbliża pan mąż... Nie! on zaczął się przechadzać po salonie, jakby jej nie widział. Zatrzymał się znowu — chrząknął...

— A-a! chcesz mnie zmusić, żebym pierwsza odezwała się do ciebie! Nie z tego, luby tyranie! Zygmunt chrząknął raz drugi; Zosia ledwo śmiech stłumić mogła.

— Wyzywasz mnie, kapryśniku! — szeptała dalej. — No! poddaj się! uznaj się, choć raz, zwyciężonym.

Zygmunt zaczął znowu się przechadzać. Słyszała jak kołował i powoli zbliżał się do niej.

— Nadechodzi chwila kapitulacji: musimy o warunkach pomyśleć — myślała, robiąc okrutny zez w oku hiszpana.

Zygmunt podszedł.

— Twierdza się poddaje—szepnęła. — Nie masz przebaczenia... ach! co ja plotę? Amnestya ogólna zupełna, przypuszczenie do wszystkich praw i łask!

Zygmunt pochylił się nad krosnami i zaczął się przypatrywać robocie.

— Co to wyszywasz? — zapytał — ornat?

Zosia parsknęła śmiechem.

Ornat z papugą i hiszpanem grającym na gitarze!...

Pochyliła głowę na poręcz małego fotelu, na którym siedziała, i śmiała się serdecznie. Srebrzyste dźwięki poruszały jej krtań, małe zębki świeciły jak perły w półrozwartej konsze jej ust.

Zygmunt sponsował; mars lekki zarysował się mu na czole.

— Czy tak coś głupiego powiedziałem, że wybuchnął śmiechem? — zapytał sucho.

Zosi twarz zmieniła się nagle; śmiech zamarł na ustach; pobladła.

— Zyguncie! — odezwała się po chwili, podnosząc się z siedzenia.

Dwie łzy zabłysły w jej oczach.

— Obraziłem? — zapytał Skalski — Przepraszam!

Nachylił się, pocałował w rękę i odszedł do stolika, na którym leżały albumy i książki w zbytkownej oprawie. Wziął jedną i zaczął przerzucać kartki, odczytując na pamięć prawie umiane zdania. Zosia patrzyła na niego, a serce jej biło jakimś przecuciem nieszczęścia.

— Zosiu! już zdaje się obiadowa pora? — odezwał się Zygmunt, rzucając na stół trzymaną przed chwilą książkę i siadając na fotelu. — Czemu dzisiaj ten Grzegorz tak marudzi?

Zosia nie mogła nic odpowiedzieć, drżała tylko lekko, jakby płatki śniegu dotykały jej szyi, ramion, piersi.

— Co tobie? — zapytał mąż.

Zosia zwróciła oczy na mówiącego, spojrzeniem rzucając mu to samo pytanie.

Zygmunt wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Zrobił to bez szybszego poruszenia się, bez uśmiechu — zimno, obojętnie.

— Moja pani gniewa się, żem jej dziś, dzień dobry, nie powiedział — zaczął.

Pocałował w rękę, którą zaraz z uścisków uwolnił.

— Nie chciałem cię, duszo moja, budzić — mówił dalej, ziewając lekko i wyciągając nogi przed siebie. — Po tak uciążliwej drodze musiałś być zmęczoną. Ja wstałem wcześniej, niż zwykle, żeby gospodarstwo obejrzeć. Bajbosiewicz dobry człek, ale zawsze polecić się może, nie będąc pilnowanym. Przekonałem się jednak, że mimo długiej mojej nieobecności rak nie opuścił. Dzisiaj rozpoczął wymiót keszloroczego zbora, bo z tegorocznego urodzaju, który się tak świetnie zapowiadał, nie wiem nawet czy na zasiew wystarczy. Wszystko spalone zostało na pniu. We wsi bieda ogromna: trzeba będzie udzielić ludowi coś z naszych zapasów. Szambelan zrobił taksamo, co bardzo dobrze o jego tklivem sercu mówi. Następnie za-

które od matki odbiera, przetwarza jego istotę, bo za sprawą tego wychowania: pierwszego, domowego, skłonności jedne rozwijają się i rosną, drugie przytłumionemi zostają. Ponieważ matka kocha, jak nikt, gorąco, ofiarniczo, ponieważ ma nad dzieckiem moc potężną przez wzajemność wzbudzonego mu w sercu uczucia miłości, — wpływ kobiety jest w tym zakresie ogromny; czy więc stoi ona wśród spraw ludzkości na boku, działalności pozbawiona i na niższy poziom życia zepchnięta, jak twierdzą emancypantki?

To należy do największych niebezpieczeństw emancypacji, że wynawczynię jej zasad stają się ślepymi na to, co jest kobiety dziedzictwem odwiecznym. Nowości pragną, pogardzają tą cichą pracą organiczną, która się wśród ścian domowych odbywa, i wołając, że kobieta jest pozbawiona należnego jej wpływu, że jest podbita przez mężczyznę i pokrzywdzoną przy prac podziale, chcą wytworzyć nowe życia warunki, wśród których przecież tylko wyjątkowe jednostki zdobywają sobie szczęście. Już to, że kobieta zamężna musi oddać się przeważnie pracy w rodzinie, wykazuje, że kobieta w ogóle nie została stworzoną do życia publicznego, do publicznej pracy, której albo bardzo krótko oddawać się może, albo poświęcić jej musi szczęście serca i pozostać samotną wśród świata. Inaczej przyjętym na siebie obowiązkiem zadosyć nie uczyni, i mało też kobiet w takich warunkach życia zamąż idzie, a że to osamotnienie goryczą i żalem w sercu stać im się musi, jest rzeczą łatwą do zrozumienia, bo, jak człowiek nie samym chlebem żyje, tak nie żyje głową tylko, tylko umysłem. D-r Róża Kirschbaumer pisze z goryczą pewną, że przyczyną tego stanu staropanieństwa lekarzek, i w ogóle kobiet idących o własnej sile przez życie, jest to niewątpliwie, że wyższe wykształcenie i wyrobiona samodzielność uzdalnia wtedy kobietę do niezawisłości, do szukania szczęścia w sobie, bez podziału z mężczyzną, któryby na tę jej niezawisłość przystać nie chciał. Czy przecież jest tak rzeczywiście? Autorka *Niebezpieczeństw Emancypacji* dodaje tu, że serce kobiety samotnej zdradzy zapewne nieraz uczuciem żalu, uczuciem mimowolnej tęsknoty, gdy, na przykład, stojąc jako lekarka przy łożu chorej żony lub matki, widzi jak troskliwie, jak miłośnie otacza ją staranność rodziny, jak mąż przy ukochanej kobiecie dnie i noce czuwa, z jak tklivą radością wita jej powrót do zdrowia. To też dodać tu trzeba, że tak ta lekarka, jak wszelka inna samotnie pracująca kobieta, wtedy tylko nie czuje pustki w sercu, pustki w życiu, wtedy tylko szczęśliwą być może, jeżeli podpora w jej istnieniu samotnym jest coś wyższego nad pychę samolubną, nad mrzonki emancypacyjne — jakaś idea wyższa, jakieś uczucie szlachetne. Niezawsze kobieta i bez spaczonych pojęć o życiu zamąż iść może, wtedy do pracy na chleb z konieczności stanąć musi, a co jest w jej sercu uczucia, pragnącego podziału — co tam jest pierwiastku miłosnego, niech włoży w poświęconą pracę dla ludzkości, a jęszcze nie będzie czuć się nieszczęśliwą i od uczy życia odepchniętą.

A jest do tego dużo, dużo pola na świecie. Na przykład, lekarki z prawdziwą miłością bliźniego, z prawdziwym zamiłowaniem zawodu swego, czyżby nie znalazły pola użytecznej pracy, gdyby osiadały po wsiach kościelnych, stając się opatrnicą parafii całej i zarabiając obok tego może więcej, niż w miastach, gdzie konkurencja jest obecnie tak wielka? Nie raz w marzeniu o szlachetnej działalności kobiety filantropki widzę taką lekarkę wiejską, jak leczy nie tylko chorego, ale zdrowym żyć pomaga: uczy matkę rodziny jak higienicznie, roztropnie należy jej wychowywać dziecko, rozbudzać siły życia w słabowitem i pomagać, aby zdrowy duch mieszkiał w zdrowym ciele. Istnieją niewątpliwie *niebezpieczeństwa emancypacji*, zwłaszcza dla kobiet młodych i samotnych, które muszą iść przez życie o sile własnej, o własnej sile na chleb pracować; trzeba im też przypominać sobie na pomoc szlachetną ideę miłości bliźniego, trzeba im mieć jakiś, w praktykę powszedniego życia wcielony ideał górny, a ten im pomoże zarobić sobie na życia tego chleb i dobre imię u ludzi.

M. Ilmicka.

szedłem do Korabieza, bo wypadło odwiedzić tego bohatera chwili. Kawę piliem u niego i nieco zmarudziłem, aż mnie sam wyprosić musiał. Trochę to niegrzecznie było... ale...

Mówił powoli, przeciągał, z przedmiotu na przedmiot przeskakiwał, jakby się bał odezwania do Zosi, stojącej opodal od niego z dużemi łzami w oczach, które na rzesach zawisły i spaść nie mogły. Zosia profilem odwróconą była od męża, patrzyła w szybę kryształową okna, na której osiadały coraz większe, strzępiaste płatki śniegu. Nakoniec Zygmunt, wypowiedziawszy wszystko, co miał do powiedzenia—umilkł na „ale.“ Zosia musiała coś odpowiedzieć, bo czuła, że gdyby dłuższe milczenie między niemi zapanowało—wybuchnęłyby w płacz głośny. Sprawiłoby to jej ulgę, lecz kto wie czyby Zygmunta nie podrażniło. Patrząc wciąż w szybę okna, odezwała się:

— Dlaczego pan Korabiez wyprawić ciebie musiał?

— Powoływał go obowiązek nauczycielski... Uczy chłopców czytać, rysować...

— Proszę jaśnie państwa do stołu! — odezwał się nagle Grzegorz, w drzwiach stając.

— *Allons!* — zawołał Zygmunt, podnosząc się szybko, widocznie rad z chwili, która mu wydobyć się pozwałała z kłopotliwego położenia. Podał rękę żonie i poprowadził ją do jadalnego pokoju.

Dzień upłynął bezbarwnie i dziwnie smutno dla Zosi. Zygmunt wybrał się do lasu, bo niby zasłyszal o jakiejś szkodzi przez włościan tam wyrządzonej. Innym razem Zosia wprosiłaby się do towarzystwa męża; dzisiaj nie śmiała z żądaniem tem wystąpić. Została znów samą na godzin kilka, ze wzrastającą trwogą w sercu, z niespokojnem rozwiązywaniem zagadki. Brzezin coraz częściej w myśli jej stawał, natrętnie widmo Natalii przesunęło się wciąż przed jej oczyma. To, czego dawniej nie rozumiała, teraz stawało przed nią w przerozyczystej jasności. Widziała oczy kusielki czarnej, duże, palące się blaskiem rubinów—wpatrzone nieumęczone w jej męża; przypominała s obie spojrzenia Zygmunta, uśmiechy przez powietrze rzucane, cały dramat miłosny odgrywany przed nią, przy podniesionej kurtynie,—a ona nie widziała nic, nie nie przeczuła!... Zniknął z jej pamięci śmieszny szambelan, zajądający cukierki, w szarą mgłę usunęły się czyny poświęcenia Korabieza; przed nią stali tylko on i ona, Zygmunt i Natalia, nielitościwie tak jej serce rozdzierający. Czasem zdawało się jej, że marzy, że to sen straszny, z którego się dziś, jutro rozbudzi. I oskarżała siebie za winy Zygmunta, i zdawało się, że grzech popętnia, odzierając go z szaty prawości.

— Tak! ja tylko winną jestem; winno to głupie serce, które go kocha bez pamięci.

Na rozwiązywaniu zagadki, na oskarżaniu siebie, na przypisywaniu wreszcie sobie brzydkiego uczucia zazdrości, niskiego samolubstwa, przeszedł ten dzień pierwszy, po powrocie z balu szambelańskiego, w progi swojego domu. Dzień drugi był podobny do minionego; następne w niczem się nie różniły od starszych swych braci.

Zygmunt widocznie starał się panować nad sobą; rozchmurzał czoło, przywoływał uśmiech na usta, próbował żartować nawet; ale w tym uśmiechu i żartach dzwoniła jakaś nuta fałszywa, brzmiał dyssonans, który w akord harmonijny zlać się nie mógł. Napozór nie zmieniło się nic, a jednak coś ubyło z dawnego ich życia. Jakaś cegielka wypadła, coś pękło u samego wianza budowy. Zosia czuła chłód, który ją owiewał, coś, co ją oddzielało od serca Zygmunta. Wiedziała, że w pocałunkach i śpiewie nie mogło przejść życie całe; ale to nagłe opadnięcie poziomu dawnego jej szczęścia, to coś, przeczuwane więcej, niż rozumiane—napętniało ją trwogą. Lecz im więcej oddalał się od niej Zygmunt, tem kochała go mocniej, miała na ustach śmiech zawsze, choć serce się skarżyło. A jakie myśli klóciły się w jej głowie, jakie gorączkowe sny nawiedzały ją w noc czarną, jakie widmo sływało na falach szarego mroku zimowych wieczorów,—to co komu do tego?... Zygmunt ją widział uśmiechniętą zawsze, choć może mniej wesołą; jeżeli powieki zacerwienione miała—to od nocy bezsennej, tylko od nocy bezsennej... Zresztą on nie widział, czy nie chciał widzieć, że jakieś ciemne krążki zarysowały się pod jej oczyma, że

odrobinę korale ust pobladły, a fioletowe oczy stały się głębszemi i trochę z blasku swego straciły. On tego nie widział i dobrze, że nie widział... to jedyne tylko życzeniem teraz jej było.

Raz ją zeszedł niespodzianie i zastał płaczącą cicho. Nie spytał: czego płacze?—tylko usiadł naprzeciw, bledszy niż zwykle, jakby chciał coś mówić, a nie mógł. Wreszcie poruszyły się mu brwi, głowę nieco uniósł i spojrzal w twarz Zosi.

— Czy ci jest źle?—zapytał po chwili.

Zosia połknęła łzy i smutne spojrzenie utkwiała w oczy męża.

— Ty nie jesteś dawnym Zygmuntem! — szepnęła.

Skalski poruszył się.

— Bo, bo... bo co?

— Przypomnij sobie: dawniej a teraz! Nasze rozmowy w czasie wycieczek do samotnego stawku, a dzisiejsze milczenie!...

— Ach! moja droga — zawołał Zygmunt z lekким odcieniem niecierpliwości. — Czyż możemy żyć tak ciągle, jak dotąd żyjemy? — czy możemy czas przepędzać na pieszczołtliwym gruchaniu jak młodzi narzeczeni?... Bywają zresztą chwile, w których nie jestem zdolny do czułości—czy i to mnie za złe weźmiesz? Wszystko zresztą ma swój koniec!

Zosia drgnęła, jakby silny prąd elektryczny przez nią przeszedł.

— Na Boga, moja Zosiu! — zawołał Zygmunt, zrywając się z krzesła. — Jak widzę, to z każdym słowem muszę się liczyć, ażeby nie urazić ciebie! To może z czasem stać się nieznośnem!... Będę więc milczał!

— Nie, nie, nie, Zygmunco!—wyszeptala, podbiegając ku niemu i—opierając swe czoło na jego ramieniu, mówiła dalej drżącym, harfianym głosem:—Dlatego właśnie, że milczysz, mnie Bóg wie myśli jakie do głowy przychodzą, nieznanne szelesty coś złego szepcą do ucha... Ja się, tak... boję!...

— Czego? czego? czego?—zawołał niecierpliwie Zygmunt.

— Ja nie mam czego... Może to nic, ot—dzieciństwo! — może to skutek znużenia, choroby jakiejś, snów gorączkowych, trwogi o serce własne; ale mi się zdawało, że jakiś cień niedobry pomiędzy nas się wsunął i rozpołowił życie nasze. Nie! nie!—zawołała szybko, tuląc mu się do piersi, bo poczuła, że Zygmunt drgnął lekko, — to wszystko było grą wyobraźni, nie nie zamąciło naszego szczęścia, nie go nie złamie! Nie zobaczysz już łez na moich oczach, żadnej nie posłyszysz skargi. Zobaczysz mnie zawsze przed sobą cichą, wierzącą tobie, kochającą ciebie nad życie!

Otoczyła ramiona szyję męża, do ust swe usta zbliżyła, stuliła powieki i w długim pocałunku zawisła mu na piersi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ALICJA OLIPHANT.

(Dokończenie).

Oliphant, poznawszy, że nie doczeka się, ani interwencji mocarstw europejskich, ani firmanu sultańskiego, postanowił na własną rękę spróbować kolonizacji izraelskiej w Palestynie. Miasteczko Haifa czyli Kaiffa najlepiej odpowiadało celowi, znajdując się po drodze do wszelkich pomniejszych osad żydowskich, które różnemi czasami w tych stronach już były powstały. Nasi marzyciele tam też osiedli nastale, zęceni położeniem, widokiem i klimatem. Okrom cudnego krajobrazu, oprawionego z jednej strony w ramy morza, z drugiej w góry Galilei, zatrzymało ich tu sąsiedztwo germańsko-amerykańskiej kolonii niemieckich Templaryszów, którzy z pokrewnemi hasłami na te wybrzeża przybyli, aby „żyć życiem“ i w ziemi świętej oczekiwać powtórnego przyjścia Zbawiciela.

Po ciężkich próbach przeszłości zaczął się tu dla Oliphantów pięcioletni okres błędnego spokoju i szczęścia. Dom ich stał się przystanią dla rozbitków izraelskich, dla przyjaciół śpieszących z Anglii, aby się ich życiu przypatrzeć, dla zwolenników ich dziwnej sekty, dla różnych biedaków, którym chętnem służyli sercem, pracując tem usilniej, że im wspólność trudu i celu dodawała podniety i bodźca. Nie brakło im dostojnych gości zpośród pielgrzymów i turystów, którzy radzi zbaczali, aby dogodzić ciekawości i zbliżka poznać to życie, o którym całe legendy po Londynie krążyły. Jakie to było życie, Alicya niejednokrotnie sama w poufnych opowiadaniach. W tęsknocie ku lepszemu stale przejawiając się zwykły jaki prąd właściwy epoce. Niegdyś puszcza Tebaidy nęciła pielgrzymów doskonałości, chroniących się w samotniach odludnych, ażeby z samym tylko obcować i rozmawiać Bogiem. Wiek to pustelników, stylitów, cenobitów. Dziś, przeciwnie, żądza doskonałości raczej wiedzie ku czynnej służbie ludziom, ku praktycznym postanowieniom, a z dwójakiego przykazania: modlitwy i pracy, niemal to ostatnie wyłącznie przemaga.

Alicya szczegółowo donosi matce o zajęciach, które jej dni wypełniają. „Usiłujemy tu życie nasze urządzić na podstawach ogólnie ludzkich, odrzucając wszelkie inne, uboczne względy osobiste, plemienne lub sekciarskie. Dzień mamy rozłożony potrosze jak w Anglii, z przyspieszeniem tylko godzin: o w pół do ósmej śniadanie, o 12-tej *lunch*, o 3-ciej herbata, o 6-tej obiad, o 8-mej znów herbata; najpóźniej o w pół do siódmej każdy do swej wychodzi pracy. Poranki zaś są tu tak cudne — iż pragnę wczesniej jeszcze wstawać. Rozdzieliliśmy sobie zajęcia w taki sposób: Jedna ma dozór nad bielizną, cerowaniem; druga dogląda prania, zajmuje się drobiem, ogrodem; mnie przypadł wydział spiżarni i kuchni. Codziennie do dziesiątej urządzić całe *menu*: delikatniejsze potrawy, jak paszety, pudynki, krokiety przygotowuję; rozdziela mięso na rosół i pieczone, zarobię chleb; poczem mogę zawierzyć wykończeniu wszystkiego przez dziewczynę, która pilnuje kuchni, a sama mam trochę czasu dla siebie, aby pisać, czytać, i t. p.

„Ale osobiste organizowanie życia pochłania mnóstwo czasu. Po każdym jedzeniu tyle bywa pomywania i uprzątania, że znów z jakie pół godziny zabiera. Do 3-ciej zażywamy odpoczynku. Po herbacie rozpraszamy się na pieszy lub konny spacer. Ja najczęściej dojeżdżam do sąsiedniej osady za różnemi interesami, odwiedzam chorych, spróbuję co zagrać na fortepianie, daję lekcy niemieckiego języka. Po obiedzie czytujemy razem lub zosobna. Jeślim nie nadto zmęczona, odbywam jeszcze przegląd spiżarni, albo też kto zawita na pogawędkę. Około ósmej mam się za uprawnioną do szukania zasłużonego spoczynku, a Wawrzyniec rzadko kiedy po 10-tej przeciąga czuwanie. Na innem miejscu Alina dodaje: „Przygotowywanie wędlin, smażenie galaret ma własność uspokajania duszy, kiedy, tak jak tutaj, albo samej trzeba je robić, albo zupełnie się bez nich obywać“.

Rozczytując się w owych zapiskach, bądźco bądź myśli się, iż chyba kobieta tej miary, co Alicya Oliphant, więcej dobrego mogła była zrobić wśród świata, który tak potrzebuje naprawy, aniżeli na pustkowiu, zmywając statki i krzątając się po kuchni. Ale krytyczne uwagi milkną wobec rozradowanego zachodu jej życia i pewności, jaką pielęgnowała w duszy, iż ta właśnie droga pokornego wyrzeczenia się i prostych starań najpewniej ją ku wyżynom ducha zaprowadzi i podniesie.

Uroczy krajobraz syryjskiego wybrzeża starczył, aby duszę uskrzydlać. Każde wzgórze w oddali najświętsze uprzytomniał pamiętki. Krucyaty stałe a wspaniałe tu zostawiły ślady, żeby tylko wspomnieć niedaleką warownię krzyżowców w Athlitt, istne dzieło Tytanów. Haifa nadto była wystawioną na letnie spiekoty. Oliphant postanowił osiedlić się w ciągu gorącej pory na stoku Karmelu, wśród życzliwych Druzów, którzy dotąd ze wzruszeniem wspominają dobroczynną i uroczą Sidi Alicyę. Karmel zdala posępnie się przedstawia; ale podróżnik, zmierzający ku szczytom ciemnej zdala góry, zdumiewa się

bogactwem kwiecia i krzewów, żyznością gleby i bujnością roślinności na tych wyżynach. Droga wiedzie istnem morzem kwiatów, irysów, róż Saronu, olbrzymich kiści cystów. Tam, w wiosce druzyskiej Dalieh, Oliphant letni sobie przysposobił domek, w nim miał spędzić najszcześniejsze dni życia, i niebawem też życia światło utracić.

Alicya własnym wdziękiem i niewieścią zmyślnością upiększała oba mieszkania, niewoliła serca ludności miejscowej i śpieszyła z gotową pomocą gdziekolwiek bieda, choroba lub smutek wołał jej służby i serca. Przepaści dziwnego mistycyzmu godziły się u obojga z praktycznymi zachodami. Oliphant, gubiący się w mrzonkach jakiegoś mętnego spirytyzmu, na chwilę nie ustawał w płodności literackiej, jednocześnie snując pomysły — projekta handlowych przedsięwzięć, mogących podnieść wydziedziczoną przez wieki krainę; wytykał nowe drogi żelazne, zaglądał do Egiptu, przy zagadkowem rozstrzeleniu w dwa sprzeczne kierunki jednocześnie najpraktyczniejsze układał plany, i znów wraz z żoną, pod jej natchnieniem spisywał księgę zatytułowaną *Sympneumata*, w której oboje streszczali poniekąd swą teozofię i bałamutne doktryny. Z tej spółki tak dziwaczne wynikięło dzieło, iż przyjaciele zalekli się o zdrowie zmysłu Oliphantów, zwłaszcza, iż niejednen ustęp aż do śmieszności się posuwał. Nie rozpoznawano przejrzyściwości właściwej stylowi małżonka, nie odnajdywano wdzięku żony w tych zawitych peryodach o chorobliwej fantastyczności. Dwa jasne i czyste źródła zwały się w mętny strumień niebawem filozoficznych bałamutów.

Wspomnieliśmy o wycieczkach urozmaicających życie Oliphantów. W Listopadzie 1885 r. puścili się małżonkowie nad Morze Galilejskie, obozowali w Tyberyadzie przez kilka słotnych dni, które miały zaszczerpić jad malaryi w wąły osłabiony organizm Alicyi. Wspominając ową wyprawę, Wawrzyniec pisał: „Nasza dwutygodniowa wycieczka do Tyberyady była prosto najszcześniejszą życia mego chwilą. Rzadko zdarza nam się być we dwoje, rzadziej razem tak zajmujące zwiedzać okolice, obozując pod namiotami, dzieląc różne małe przygody i przyjemności; był to jakoby przeciągły piknik we dwójkę. Rysowaliśmy, szkicowali, łowili ryby i jeździli konno naprzemian“. Febra zrazu nie wystąpiła niebezpiecznie, Alicya nawet krzątała się podawnemu, w domu i ogrodzie na stoku Karmelu, na rzekając raczej na duchowe tylko przygnębienie i zniechęcenie. W chwili gdy się tego najmniej spodziewano, nastąpił zwrot złowrogi i wycieczonych nadmierną pracą sił zbrakło, aby zwalczyć malaryę.

Pogrzeb Alicyi Oliphant uwydatnił przywiązanie ludności w Palestynie do istoty, która przez pięć lat była promieniem słonecznym dla całej okolicy. Druzowie gór, Syryjczycy doliny, Niemcy z sąsiedzkiej osady, zbiegli się do Dalieh, aby raz więcej w śnie śmierci ujrzeć to uroczyste zjawisko. Leżała Alicya Oliphant z pękiem stokroci Karmelu w złożonych dłoniach, z wyrazem pogody i swobody na marmurowem obliczu. Kochające ręce zakrzętały się około żałobnych przygotowań. Druzowie powtarzali, iż gdyby pięciu szejków zmarło, mniejszy byłby wśród nich żal i lament niż po tej jednej cudzoziemce. Chodziło o ośmiu ludzi, aby trumnę znieść z wyżyn na dolinę; ofiarowało się ich pięćdziesięciu, a na czele pochodu żałobnego jechali konno przedniejsi szejkowie. Urzędnicy konsulatów, drogmani, kawasy, arabowie, ludność cała Haify wyległa na spotkanie orszaku pogrzebowego. Gdyby Alicya była królową, nie większe składanoby jej hołdy; istotnie-ko królową serce się stała, i każda też chata nadmorskiej osady dostarczyła osobnego wieńca kwiatów, aby ją pożegnać, wyściełając sam grób otwarty posłaniem z wonnych liści. Zniknęła trumna pod stosami kwiatów, wiązanek i wieńców. Tam tedy spoczęła, między Haifą a Karmelem, pomiędzy letniem a zimowem swem mieszkaniem, u stóp Karmelu, opodal morskiego wybrzeża, w pobliżu gór i jeziora Galilei.

Maż kilka dni spędził w niemej rozpacz. Ale, jak gdyby ze zniknięciem Alicyi znikł też ostatek równowagi w umyśle osierociałego; spirytyzm nerwowy i mrzonki Swedenborga zapanowały nad zdrowym rozsądkiem. Zdawało się Oliphantowi,

iż nastąpiła dziś dla niego chwila najściślejszego zespolenia się obu dusz, żeńskiej i męskiej, że duch Alicyi na wieki w niego wstąpił, aby uzupełnić jego istotę, i nieśmiertelne a wspólne rozpocząć z nim i w nim życie. Razporaz konwulsyjne drgania przejawiały się w jego ciele. Rozgorączkowanemu zdawało się, iż to są skutki nadprzyrodzonego „influxu“, — magnetycznego z Alicyą zespolenia. Staczając się po pochyłości owych dziwnych złudzeń, chory człowiek niebawem ogłosił, iż potrzebuje doczesnego współpracownictwa, ponieważ obciążenie ducha nieboszczki zbyt częstem wzywaniem jej do spółnictwa w ziemskim apostołstwie wyczerpuje zagrobowe jej siły.

Stało się co było nieuniknionem, o ile nie miało być koniecznością śmierci, w niespełna dwa lata po utracie ukochanej towarzyski lat znoju i boju, poślubił Oliphant Amerykankę, która w jego pamiętniku występuje jako wielkie pierwszorzędne medyum. Po godzinie znajomości, spostrzegłszy w niej niezwykle dar *wewnętrzny wzroku*, postanowił zjednoczyć dla dobra sprawy, dla celów, które miał za najlepsze, dwustronne siły, tłómacząc przed sobą samym i przed ludźmi, że zawarcie owego związku nakazała mu zmarła Alicya, aby zacieśnić jeszcze zagrobowy swój z nim stosunek. Ale zaledwie Rozamonda Dale Owen została żoną Wawrzynca Oliphanta, gdy nowożeńiec zachorował śmiertelnie i nie powstał już, nie wrócił do Haify, nie spoczął na cichym, nadmorskim ementarzu... nie! umarł na tej ziemi ojczystej, którą tak często odbiegał, gnany niepokojem mrocznej swej duszy ku coraz-to innym strefom i wyżynom, niby kamień toczący się dokoła ziemi, — *a rolling stone*. Jakby w nagrodę za bądzeobadź dobrem sercem składane ofiary, acz pod wpływem mętnych złudzeń i teorii, pełniejsze światło, zupełniejszy spokój uweselił śmiertelne łożę tego, który przez całe życie rwał się do ofiar i tęsknił za czemś wyższem i lepszem od światowych konwencyonalności i wystudzonej religii, z jaką zamłodu się stykał.

Wśród chłodu i egoizmu, cechujących naszą epokę, dzieje tych dwojga wybranych uderzają promieniąjącem dokoła ciepłem, i choć się pomylili w drog swoich wyborze, trudno nie wzruszyć się ich poświęceniem, zaparciem osobistym i tą energią miłości człowieka, która zawiodła Oliphantów z ogniska komfortu i kultury w ustronie zacisznej amerykańskiej osady religijnej a później na samotne wybrzeża Palestyny. Zwłaszcza jego ofiara na razie większe sprawia wrażenie, ponieważ więcej opuścił i poświęcił, schodząc ze szczytu powodzeń doczesnych. A jakkolwiek kobiecie łatwiej iść w ślady ukochanego, choćby się stopy na obranej drodze krwawie miały, trudniejszą bywa przecież powszednia wytrwałość i codzienne umartwienie zmienionych życia warunków, zwłaszcza gdy te rozłączają miłujące się serca. Zapewne Wawrzyniec i Alicya Oliphant nigdy nie mieli zupełnej świadomości pomyłki, która ich zawiodła na mianowce i błędami ognikami światłości gwiazdy przewodnie im zastąpiła.

Duma czy zaślepienie, obłęd spirytyzmu czy nerwowo-magnetyczna choroba, dość, że się nigdy u nich na chwilę nawet nie przejawiała chwiejność, ani wątpliwość sumienia. Ale wraz gdy ich ziemskie przerwało się szczęście, jakże cierpieć musieli nad straconymi dniami poniewolnego rozłączenia, kiedy ich twarda wola mistrza na odległe posterunki wyprawiała, targając przyrodzone i ślubowane węzły! Jest to jednym ze znamion fałszywej nauki, iż nie umie szanować świętości i szczęścia rodzinnego, nie ceni, jak przynależny, związku stwierdzonego błogosławieństwem Boga i świadectwem ludzi. Wśród bałamutów Harrisowej doktryny najbałamutniejszymi były właśnie jego poglądy na doczesne i wiekuiste śluby małżeństwa. Kto zmierzy cierpienia ztąd dla jego zwolenników wynikłe? Książka pani Oliphant nie wyczerpuje przedmiotu, mnoży dziwaczne objawy i teorie, a jednak nie wyprowadza czytelników na manowce, któremi w dobrej wierze kroczyli sami bohaterowie jej smętnego — i mętnego opowiadania. Owszem, wbrew nagromadzonemu tu zboczeniu ducha, całość nie zaraża chorobitem technieniem, lecz raczej podnosi zapalem rozlanym

w życiu dwojga ludzi, ich szczerą chęcią służenia bliźnim i dosłużenia się królestwa niebieskiego, sprowadzanego coraz bliżej ku ziemi czystą wolą miłości bliźniego i trudem serdecznym człowieka dla człowieka.

M

HAJOTA.

NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

(Dokończenie).

Po tym powrotnym marszu przebiegnę szybko, jak się zazwyczaj zbiega z góry, choć, co do nas, schodziliśmy bodaj wolniej, niż wchodzili, a jak przedtem ciągle pięty krumańskie miałam na wysokości moich oczu, tak teraz musiałam uważać, aby na jaką kędzierzawą głowę nie nadeprnąć. Zresztą nogi grały teraz podrzędną rolę, służąc głównie za punkt oparcia, podczas gdy korpus posuwał się na dół zapomocą ciągłego przysiadania. Była to pewna rozmaitość, nie powiem, żeby przyjemna.

Urozmaiconemi także, to w ten to w ów sposób, bywały noclegi, z których dwa szczególnie romantycznością swoją utkwily mi w pamięci.

Jeden był nad samotnym brzegiem przepaści, w miejscu chyba najmniej ze wszystkich odpowiedniem na nocleg — ale wieczór, czarny leśny wieczór, zaskoczył nas nagle, i nie było wyboru. Zaledwie starczyło czasu, aby oczyścić tyle miejsca ile wymagało rozpięcie namiotu. Paprociowe wysokie drzewa tworzyły nad nim baldachim; od przepaści oddzielał go płatek, naprędcie z kolezających paprociowych gałęzi sklecony. Z drugiej strony grunt podnosił się tarasem, na którym parę zwalonych olbrzymich pni obwieszonych linami tworzyło rodzaj grotty. W tej grocie krumani rozpalili ogień, i wtedy ten namiot, te kołyszące się nad nim paprociowe wachlarze, ten płatek kapryśny, szwajcarskie płatki przywodzący na pamięć, ta niby jaskinia na podwyższeniu z płonącym w jej wnętrzu ogniskiem, — wszystko to oprawne, w przepaści czarnej ramy lasu, zawieszona nad zrębem otęchłani złożyło się na jakiś niby alpejski, dziwnie dziki a dziwnie uroczy obrazek.

Nazajutrz znowu zachód słońca zastał nas w tak wielkiej gąszczu, że, zanim krumani uporali się z połową potrzebnego na nocleg placu, ciemność ogarnęła nas zupełna. Nasz zapas świec już od kilku dni był wyczerpany; ludzie bładzili po-omacku, szukając jako tako suchego drzewa na ogień, żeby przy jego świetle dalsze wyrąbywanie prowadzić, a my przez ten czas siedzieliśmy na pakach, nie widząc się wzajem. Zato dokoła nas, jak deszcz dyamentów, sypały się złotawe punkciki świetlików, których nigdy przedtem ani potem w takiej obfitości nie widziałam, i rozchodziła się upajająca woń orchidei. Kolekeyonowaliśmy te piękne porosty po drodze wraz z mechami, przeznaczonemi dla profesora Rehmana; lecz nie zdarzyło nam się widzieć nigdzie kwitnącego storczyka. Tymczasem mocny zapach wanilii wymownie o jego blizkiem sąsiedztwie świadczył. Nazajutrz rano obiecywałam sutą nagrodę jednemu z krumanów, aby tylko wynalazł mi ten kwiat, ale poszukiwania jego były daremne.

Piątego dnia od zejścia z Piku, w południe, wchodziliśmy do *Bau Bese*. Przyjęto nas tu inaczej, niż przed dziesięcioma dniami. Mieszkańcy pochowali się po chatach, jakby w obawie zemsty, i dopiero po długim czekaniu na placu kacykałnego domowstwa jednooki *butuku* wyczołgał się drżący cały, a za nim parę żon jego niosło przeznaczoną dla Tioda zapłatę: fuzy, proch i tytoń. Wszystko to kacyk złożył przed nami, a wyraz jego szpetnej twarzy przy tej prestytucji był tak zabawnym, że nie mogłam wstrzymać się od

śmiechu. Przebijają się w nim i poczucie winy, i żal zwracanych skarbów i lekka nadzieja, że może biały człowiek ulituje się i zostawi je pomimo wszystkiego. Nadzieja ta spełniła się zresztą. Czyż można było stosować miarę wymagań etycznych do istoty rządzącej się tylko instynktem, jak Tiodo? Instynkt kazał mu uciekać, więc uciekł. O tem, że istnieje taka rzecz, jak obowiązek, nie mógł nigdy słyszeć; cóż dziwnego, że nas porzucił? Ale cywilizowany Mister George Scott słyszał o tem, i z nim inna miała być sprawa. Złe też trafił ten dżentelman, że swoją bolejącą postawą, z jaką, zaobserwowawszy widocznie z ukrycia, że panuje atmosfera pobłażliwości, stanął raptem przed nami, istny obraz niewinnie cierpiącej ofiary. Udaliśmy, że go nie spostrzegamy; wtedy on głosem przewlekłym i płaczącym zaczął się skarżyć, że po tylu trudach i niewygodach ciężka febra go trapi, że lęka się, aby tego życiem nie przypłacił; na wypadek jednak, gdyby go jeszcze śmierć oszczędziła, ma niepłonną nadzieję, że „Mister“ wypłaci mu jego 12-się skrzynek dżynu. Boć, ostatecznie, „Mister“ i „Missis“ byli na piku, więc on święcie swego zobowiązania dotrzymał.

Jako dowód niezmienniej przyjaźni ofiarowuje nam skórę małpy, którą Tiodo w lesie zastrzelił, a wzajem prosi, aby go zabrać naszą łodzią do Bassuali, koniecznie o to prosi — bo inaczej Bóg wie kiedy dostanie się do domu.

Za całą odpowiedź wstaliśmy, zabierając się do ostatecznej części marszu i zejścia na wybrzeże. Pan Scott ze swoją małpią skórą powłókł się za nami, mrużąc i stękając.

Wielki-bo wielki czas to był znaleźć się już raz w domu. Skrzynie nasze z prowizjami były zupełnie puste, odzienie poszarpane, obuwie ledwo trzymało się na pokrzwionych i obrzękłych stopach, zwłaszcza u mnie, a prócz tego, od ciągłego ściskania przez dziewięć dni w ręku góralskiego kija, palce mi tak zesztyniały, że prawie traciłam w nich władzę.

Nazajutrz wieczorem byliśmy już u siebie.

W kilka dni potem, wobec generalnego gubernatora posiadłości hiszpańskich w Zatoce Gwinejskiej, wszystkich officerów marynarki i urzędników cywilnych nastąpiło otwarcie znalezionej na szczycie dokumentu.

Składał się on z dwóch kawałków pożółkłego papieru. Na jednym dawały się jeszcze odczytać następujące słowa:

„Hoy el 3 de Abril 1860 ha Ugado a este punto Don Julian Pellon y Rodriguez Comisario Especial... tu wilgoć wydarła znaczną część kartki. Pozostaje końcowy ułamek ze słowami: boca a bajo, con un papel podrido, Uado en un trapo, que se supone colocada por el antiguo Gobernador de la Isla Mr. Becroft... Se ruega la conservacion de este apunto donde le deja su autor.

Co znaczy: „Szyjką na dół“ (odnosi się to do znalezionej przez Pellona butelki) a w niej zmurszały papier, owinięty w płótno, prawdopodobnie złożony tu przez dawniejszego gubernatora Wyspy Mr. Becroft'a. Uprasza się o pozostawienie tego dokumentu na miejscu, gdzie go składa jego autor.

Julian Pellon y Rodriguez.

Nie znając treści dokumentu w chwili zabrania go, nie mogliśmy, rzecz prosta, uszanować woli hiszpańskiego exploratora. Myślę jednak, że gdyby żył dotąd, nie byłby nam wzięł tego za złe, choćby ze względu na to, iż to była ręka kobiety, która popeliła tę mimowolną niedyskrecją i zaniósła do Europy dowód jego dzielności.

K O N I E C .

Kronika działalności kobiecej.

— Petersburskie koło kobiet zajętych pracą w zakresie artystycznym zamierza urządzić wy-

stawę rysunków technicznych wykonanych przez kobiety.

— Na zjeździe weterynarzy w Moskwie podniesioną będzie kwestya założenia szkoły weterynaryi dla kobiet. Ukończenie kursów tej szkoły dawałoby słuchaczkom prawa, jakich używają pomocnicy weterynarzy.

— Ministerjum dóbr państwa zamierza poprzeć odpowiednimi środkami upadający przemysł kobiecy w zakresie tkactwa i wyrobu koronek.

— W wsi Poniemoniu, baronowa Budberg założyła szkołę wiejskiego gospodarstwa kobiecego, gdzie uczennice obok wykładów teoretycznych uczą się w praktyce, jak przez użycie odpowiednich maszyn praca może się stać mniej uciążliwą, mniej ręk zatrudniająca. Wieczorem starannie dobrane czytanie wspólne rozszerza wiedzę naukową i kształci umysł uczennic, wszystko panien już dorosłych, a odbywa się to zawsze w obecności i za współudziałem przełożonej. — W Rydze jest też kilka zakładów dla panien, które już pokończyły nauki i potrzebują uzdolnić się do praktycznej domowej pracy w jej gałęziach różnych. Na czele jednego z nich stoi wdowa po dyrektorze miejscowego gimnazjum, Berta Redelein, której rozprawa o domowym gospodarstwie kobiety zyskała jej w uniwersytecie dorpackim prawo otwarcia szkoły. Kurs nauki dzieli się na tu na dwie części: od 12 Września do 12 Grudnia, i od 12 Stycznia do 12 Kwietnia. Trzy lekcje w tygodniu zabierają trzy do czterech godzin, nauka teoretyczna łączy się tu z praktyką gotowania, przyrządzania konserwów domowych i tym podobnych rzeczy. Pensyonarki zajmują się kolejno całym gospodarstwem domu. Opłata za kurs całkowity 45 rs., nie jest wysoką w porównaniu z korzyściami, które daje, bo obok nabytych wiadomości młoda panna kształci się tu moralnie do obowiązków swoich, które uczy się uznawać i szanować.

— Na wystawie sztuki w Kijowie przesłała z Paryża kształcąca się tam Kijowianka, p. Certowiczówna, dwie rzeźby wyższej wartości, które już na wystawie berlińskiej cieszyły się należnym uznaniem, szczególniej popierse kobiety. Drugą wystawczynią była Marya Dulembianka.

— Zmarła w Kownie Wiktorya Bartosiewiczowa zapisała cały swój majątek na stypendya dla uczniów gimnazjum wileńskiego. Kamienica przy ulicy Nowej, stanowiąca główną część spadku, sprzedana została za 9.232 rs. Zmarła w Wilnie Kamilia z hr. Tyszkiewiczów Słizieniowa zostawiła na rzecz ubogich 10.000 rs.

— Warszawska ochrona imienia księdza Boudouin'a prawdziwie świętej pamięci, otrzymała 1.000 rs. z zapisu testamentowego Karoliny Kochanowskiej.

— Do Warszawskiego Towarzystwa Pań Ś-go Wincentego à Paulo zwrócono się z propozycją zawiazania przy Towarzystwie osobnego oddziału uczynków miłosiernych, dla zajęcia się grzebaniem szczątków śmiertelnych ludzi ubogich. Zwłoki biedaków idą zwykle do wspólnego dołu, co jest ciężką boleścią dla rodziny niemającej środków na inne ich pochowanie. Istnieje we Francji, w Bawaryi, Towarzystwo Ś-go Józefa z Arymatei, zajmujące się grzebaniem szczątków ludzi ubogich, a wszędzie liczy ono bardzo wiele kobiet.

— Przełożona Sióstr Miłosierdzia w szpitalu Dzieciątka Jezus, Felicja Wojno, skończyła trzydzieści trzy lata służby zakonnej, z których trzydzieści dwa przebyła we wspomnianym szpitalu, gdzie jako „sługa sług bożych“ odrabiała poświęconą pracę swoją, kojąc cierpienia, pielęgnując dusze i ciała biedaków, aby nie wołali w ucisku boleści: — Ojze! Ojze! czemuś mnie opuścił!.. Po odbyciu nowicyatu w zakładzie Ś-go Kazimierza na Tamce stanęła w 1860 r. do poświęconej pracy swojej przy łóżu cierpiących w szpitalu Dzieciątka Jezus, gdzie po upływie pewnego czasu została asystentką przełożonej, s. p. Alexandry Kloczewskiej, a po jej zgonie w 1889 r. zajęła jej miejsce, to jest objęła zarząd sal szpitalnych, gdzie przebywa nieustannie 500 chorych. Szpital Dzieciątka Jezus mieści wraz ze służbą i officialistami blisko tysiąc osób i ona lat trzydzieści pracowała tu, zarządzała, gdyż całe gospodarstwo

zakładu skupia się ostatecznie w ręku przełożonej; aż zmęczona już pracą i wiekiem zażądała odpoczynku i powraca do zgromadzenia Sióstr święto-bliwych, do głównego ich domu na Tamce, zostawiając za sobą żal i szacunek.

— Z zapisu s. p. Tekli Rapackiej przyznano pięciu ubogim szwaczkom rs. 14, oraz sześciu podupadłym nauczycielom 24 rs.

— Szwalnia 1-sza Warszaw. Tow. Dobroczyńności, zostająca pod opieką hr. Maryi Ronikierowej, liczyła w roku ubiegłym zapisanych 478 dziewcząt, w których przecięciowo ucześnieństwo tam dziennie 337. Z tej liczby otrzymywało około stu dziewcząt obiady bezpłatne, a w części i śniadania, oraz kolacje bezpłatne, reszta zaś za opłatą pięciu lub dziesięciu groszy dziennie. Dziewczeta przebywały w zakładzie 74.308 dni sprawozdawczych. Dochodu miała szwalnia 6.872 rs., a w tem mieści się 2.369 rs. za roboty wykonane w zakładzie. Wydatki wyniosły 6.525 rs.

— P. Emilia Ziółkowska zamierza otworzyć dwuletnie kursa pedagogiczne dla kandydatek do stanu nauczycielskiego, co przedstawia rzecz bardzo pożądaną. Wiele nauczycielek nie umie nauczać, nie umie prowadzić dzieci pedagogicznie, to jest ze względu na niewiedzę w rozwoju ich uczuć i władz umysłowych.

— P. Wanda O. ma otworzyć ogród wyłącznie dla dzieci za opłatą od 3 do 5 rs. na sezon cały, a to stosownie do liczby dzieci, które rodzina przysyła, a które bawić się tu mają pod opieką odpowiednio do tego uzdolnionych dozorczyń. Ogród wybrany na to miejsce zabaw dziecięcych jest obszerny, a mieści się w Alei Ujazdowskiej, i, jeżeli będzie prowadzony umiejętnie, może być pożytecznym dla dzieci tych matek, które, zajęte pracą, nie mogą same czuwać nad dziećmi, a brak środków nie pozwala im na stałe pomocnice w wychowywaniu, tak zwane bony.

— Na członków Tow. Jedwabniczego zapisało się pań dwie: Szlenkierowa Marya, Wydźga Marya.

— P. Zofia Wessłowa z Żyrzyna, przyjmująca corocznie na kolonie letnie dzieci niezamożnych rodziców, przybywające z Warszawy, wyraziła życzenie zaopatrzenia tej pożytecznej instytucji w łóżeczka żelazne, czyniąc to stopniowo. Na początek ofiarowała na ten cel 40 rs.

— W Łodzi założonym został przytułek dla ubogich, a zarządzający nim obecnie D-r J. Wiskocki, przyznaje zasługę wzniesienia tej pożytecznej instytucji współudziałowi p. p. Anny i Olgi Geyer, jak to ogłosił w „Dzienniku Łódzkim“ w liście pisanym do redakcyi. Oprócz tego, że rodzina p. p. Geyerów przyczyniła się do dzieła ofiarą znacznego grosza, wspomniane panie dały jeszcze wiele znacząca pomoc swoją przy zbieraniu fundusów za pomocą kwesty.

— Bezpłatna szkoła koronek i passamanterii, utrzymywana w Piotrkowie pozeziewem staraniem swych opiekunek dobrej woli, rozwija się pomyślnie, wytwarzając przemysł pożyteczny dla osób potrzebujących pracy. Szkoła zajmuje się bezinteresownie zbytem wyrobów uczennic swoich.

— P. Helena z hr. Dzieduszyckich Mieczysława Pawlikowska została wybraną w Krakowie na przewodniczącą Stowarzyszenia Oszczędności Kobiet.

— Hr. Felicja Marya Czarkowska ofiarowała na utworzenie we Lwowie zakładu wychowawczego dla osierociałych chłopców 120.000 zł. reń., za którą nabyta już została posiadłość miejska, mająca mieścić wspomniany zakład. Obecnie za ta pani dodała 140.000 zł. reń. na podobny zakład dla sierot dziewcząt, który w bieżącym roku, jeszcze przed zimą, wejdzie w życie. W tym samym czasie utworzonym będzie we Lwowie internat dla seminarzystów, kosztem 27.000 zł., ofiarowanych na ten cel przez nią.

— Hr. Romanowa Potocka została przewodniczącą komitetowi pań na wiedeńskiej wystawie muzykalno-teatralnej. Zadaniem komitetu jest pomoc w uzyskaniu jak największej liczby okazów od prywatnych właścicieli.

— Stowarzyszenie kobiet czeskich, zowiące się „Kółem pań“, powstało w Pradze, z celem zapewnienia wspólnymi siłami sposobu do życia kobietom samotnym: pannom i wdowom niezamożnym.

Zakład Stowarzyszenia dzieli się na trzy klasy. Daje ono w klasie I-szej całe utrzymanie wraz z pokojem osobnym za 35 zł. reń. miesięcznie. W klasie II-iej mieszczą się w jednym pokoju dwie osoby, opłata 25 zł. reń. W klasie III-ciej mieszkają w jednym pokoju cztery pensjonarki zakładu za opłatą miesięczną 16 zł. reń. Na czele Komitetu Stowarzyszenia stoi znana i wielce w narodzie swoim szanowana literatka, Zofia Podlipska, siostra Karoliny Swietli, najwyżej w piśmiennictwie czeskim cenionej pisarki. Komitet Stowarzyszenia wydał odezwę, żądającą od narodu poparcia.

— Ludwika Abbéma, malarzka francuzka, używająca wśród społeczeństwa swego wyższej już sławy, urządziła w Paryżu wystawę obrazów swoich. Takie wystawy sztuki zaczynają się upowszechniać z tym dobrym skutkiem, że zebrane razem prace artysty pozwalają talent jego publiczności ocenić.

— Paryżki uniwersytet liczy na wydziale medycznym 134 studentek (na ogólną liczbę 4.074 studujących), w tej liczbie jest 81 Francuzek; między innymi dwie Tureczki. Na wydziale literackim studuje 97 kobiet, wśród ogólnej liczby 1.091 słuchaczy; na wydziale matematycznym jest słuchaczek 19 na 668 studentów mężczyzn. Na wydziale farmaceutycznym na 1.560 słuchaczy żadnej kobiety.

— Kobięca wystawa malarstwa w Berlinie zgromadziła znaczną ilość dzieł sztuki, różnej wartości, wśród których przeważały krajobrazy, kwiaty i malarstwo rodzajowe. Odnaczały się jako pejzażystki: Małgorzata v. Keudell, Paula Brute, Berta Parmentier i Eliza Habelt. Wśród malujących kwiaty pierwsze miejsce zajmowała Herminia v. Treuschen. Doskonałą techniką i efektami kolorytu odznaczył się obraz Elizy Heidinger, przedstawiający leżącego wśród ostrzyg i muszli potężnego łososa— w miedzianem naczyniu!.. Żadne wyższe techniczne ducha nie wydało tu nie z zakresu wznioślejszej twórczości artystycznej.

— Kommissya parlamentu niemieckiego odrzuciła wniosek utworzenia gimnazjum żeńskiego, oraz dopuszczenia kobiet do słuchania wykładów filozoficznych, dozwoliła tylko na składanie gimnazjalnych egzaminów dojrzałości i dopuszczenie do studyowania medycyny. Kobieta lekarz jest uznana w całym świecie cywilizowanym. Wśród debatów, jakie tu miały miejsce nad petycją wejmarskiego związku kobiet „Frauenwohl“, żądającego dopuszczenia kobiety do studyów filologicznych i lekarskich, przeciw czemu przemawiało stronnictwo zachowawcze, wystąpił najsilniej za prawem kobiety do swobody pracy i nauki pastor Stöcker, zachowawca najskrajniejszy. Wypowiedział on gorąco tę smutną prawdę, że kobieta nie znajdująca obecnie w znacznej części szczęścia związku małżeńskiego, powinna mieć otwartą drogę do takiej pracy, któraby dała zwłaszcza kobietom klas inteligentnych możność ucziwego i w dół nie spychającego istnienia. Część petycyi kobiet wejmarskich odesłano do przejrzenia ministrowi oświecenia w Prussiech.

Z bieżącej chwili.

— Donoszą z Petersburga, iż opracowaną tam została ustawa dla niższych szkół agronomicznych.

— Petersburgskie Towarzystwo Mineralogiczne ogłosiło konkurs na dzieło o palanteologii. Dzieła specjalne będą przyjmowane, zarówno jak podręczniki, do d. 13 Sierpnia r. b.

— Zatwierdzoną została ustawa założonego w Petersburgu Towarzystwa „Espero.“ Celem Towarzystwa jest rozpowszechnianie międzynarodowego języka, utworzonego przez Dra Esperanto (Samenhof). Pierwsze zebranie Towarzystwa odbędzie się w miesiącu bieżącym.

— W Wilnie powstała pożyteczna instytucya „Bazar wyrobów rzemieślników wileńskich.“ Inicytorem głównym jest p. Józef Montwiłło. Bazar mieści się przy ulicy Wileńskiej; przeszło 60 rzemieślników umieszcza tu wyroby swoje; oddający wyroby swe do Bazaru płaci 10% kommissowego, co potrąca mu zostaje z summy otrzymanej przy sprzedaży. Gdy nabywca się nie znajdzie, opłata przedstawia 4% ceny szacunkowej bez względu na czas trzymywania przedmiotu w Bazarze. Czas ten jest nieograniczony. Bazar bywa zawsze zapelniony. Publiczność nie chce nabywać z zasady pianin wyrobu miejscowego; sprowadza je z Warszawy lub z zagranicy.

— W mieście naszym ma powstać, wskutek usiłowań ludzi dobroczynnych, szkoła zarobkowa dla dzieci ubogich rodziców. Szkołki takie istnieją w Anglii i w Stanach Zjednoczonych.

— Ś. p. Władysław Kronenberg zapisał warszawskiemu Tow. Dobroczynności 250.000 rs., z warunkiem odtrącenia procentów na korzyść sierot wychowywanych przez Towarzystwo, a te z celem kupowanie warsztatów dla chłopców wykształconych na rzemieślników, oraz na wyposażanie dziewcząt.

— Pomnik ś. p. ks. Adama Jakubowskiego zostanie odsłonięty d. 6 Maja, następnie odbędzie się uroczyste nabożeństwo za spójność jego duszy. Na pomnik ten złożono 317 rs.; składki złożyli pp. Ludwika z Lindów Górecka rs. 25, Józefa z hr. Tyszkiewiczów Wodzińska rs. 50, hr. Czaeka Zofia rs. 10, Stadnicka Marya rs. 15, prof. Kosiński Julian rs. 10, Marya Szymanowska rs. 3, Eufrozyna Starzyńska rs. 5, Józef Meyer b. prezes Akademii Umiejętności 100 złr. reńskich, hr. Żółtowski Edward rs. 50, Dr Edward Budzyński rs. 10, J. A. Święciecki rs. 10, Pietrzykowska 90 kop., Antonina Studzień 1 rs. Trzeba przecież dodać, że zwłoki zasłużonego kapłana nie posiadają własnego grobu i mieszczą się na Powązkach w grobie familijnym rodziny Badowskich.

— Na biust portretowy ś. p. Tatarzewicza, który ma być ustawiony w przedsionku Wielkiego Teatru, brakuje funduszu i wskutek tego rzeźbiarz Woydyga nie przedstawił swego projektu. Grono osób zajmujących się tą sprawą podniosło myśl korzystania z modelu wykonanego już przez pana Andrzeja Pruszyńskiego.

— Pomnik Brodzińskiego, mieszczący się w kościele po-wizytkowskim, uległ pod działaniem czasu pewnym uszkodzeniom, a to palce zostały odłamane. Jeden z naszych rzeźbiarzy ofiarował się dokonać naprawy bezinteresownie.

— Na grobie ś. p. Wincentego Korotyńskiego będzie wkrótce postawiony pomnik, którego wykonanie powierzono już jednemu z naszych rzeźbiarzy.

— Komitet Warszawski Tow. Sztuk Pięknych ogłasza, iż według regulaminu corocznych wystaw odbędzie się w Styczniu 1893 r. konkurs rzeźbiarski, przyjmujący wszystkie dzieła z zakresu rzeźby, snycerstwa i medalierstwa, wykonane w ciągu trzech lat ostatnich a nie wystawione nigdzie w Warszawie; kopii, jak i dzieł zmarłych przed trzema laty artystów, nie przyjmuje się na wystawę. Deklaracye w formie listu przesyłać należy pod adresem Komitetu Towarzystwa, najpóźniej po dzień

31 Grudnia do godziny 6 po południu. Nagrody konkursowe: pierwsza 600 rs., druga 300 rs., trzecia 200 rs. Oprócz nagród pieniężnych przyznawane będą listy pochwalne.

— Monachijskie Tow. Sztuk Pięknych przesłało sztuki mistrzom naszym zawiadomienie, iż tak, jak na powszechnej wystawie sztuki w Berlinie, został urządzony na międzynarodowej wystawie w Monachium dla sztuki naszej oddział osobny. Wskutek tego utworzyła w mieście naszym kommissya, złożona z pp. Badowskiego, Gersona, Kotarbińskiego i Maszyńskiego, orzekająca, które z dzieł, przedstawionych do wysłania, kwalifikują się do tego. Na podstawie wygłoszonych orzeczeń Kommissyi wysłali na wystawę dzieła swoje pp. Alchimowicz Kazimierz, Badowski Adam, Bielińska Anna, Chelmoński Józef, Dukszynska Emilia, Fałat Julian, Gerson Wojciech, Gażycz Marya, Klas-Kazanowska, Klopfer Karol, Kotarbiński Miłosz, Lentz Stanisław, Owidzki Jan, Piotrowicz Zygmunt, Piątkowski Henryk, Pawliszak Waclaw, Podkowiński Wład., Piechowski Wojciech, Pankiewicz Józef, Radziejowski Stanisław, Ryszkiewicz Józef, Stankiewiczówna Zofia, Szyndler Pantaleon, Witkiewicz Stanisław. Z rzeźby przesłano trzy utwory Rygiara: „Portret Kossaka“, „Sztuka“ i „Satyr.“ Z dzieł architektury przesłano plany: Braumanna Franciszka, Dziekońskiego Józefa, Goldberga Edwarda, Hozera Pawła, Lilpopa Edwarda, Markoniego Władysława, Niemczewskiego Apoloniusza, Szylera Stefana.

— Artyści sceny lwowskiej wnieśli petycją do krakowskiej Rady Miejskiej, aby objęła teatr krakowski we własną administracyą, ze względu na kierunek i powodzenie sceny.

— Muzeum historyczne miasta Lwowa będzie wkrótce otwarte w gmachu ratuszowym. Pomieszczone tu będą wszystkie pamiątki łączące się w jakikolwiek sposób z przeszłością i rozwojem Lwowa.

— Pod protektoratem marszałka ks. Sanguszki zawiązała się we Lwowie wspólka z celem budowania domów na tanie mieszkania dla rzemieślników.

— Na prośbę komitetu lwowskiej wystawy budowlanej prezydent Warszawy, generał Starynkiewicz, wydał zarządowi kanalizacji rozporządzenie, aby miasto posłało na wystawę plany, modele, fotografie, odnoszące się do wodociągów i kanalizacji Warszawy.

— Asystent politechniki lwowskiej, Zygmunt Dobrowolski, mianowany został nauczycielem przemysłowej szkoły budownictwa w Zakopanem.

— Z funduszu 100.000 złr. uchwalonego przez sejm galicyjski na zapomogi dla dotkniętych głodem, rozdano 74.000 złr. na pożyczki bezprocentowe, a 10.000 na zapomogi bezzwrotne. Pozostałe kwoty zamierza wydział krajowy użyć na dalsze rozdawnictwo w tym kierunku, aby 10.000 złr. zarezerwowano na zapomogi bezzwrotne a 5.500 złr. na pożyczki bezprocentowe.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: Arkusz 8-my powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

TRĘŚĆ: Pogawędka, przez Quisa.—Żywemu Bogu, przez J. Nitowskiego.—Emancypacja kobiety, przez M. Inicką (do kończenia).—Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—Alacya Oliphant, przez M. (dokończenie).—Hajota. Nad przepaściami (wrażenia z gór Afrykańskich) (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.—Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 8-my powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 28 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Koronka wykonana szydełkiem i narożnik na poszewki i t. p.

Rycina Nr 9 i 10 w Bl. Nr 17.

Koronka i narożnik odpowiedni, wykonane kre-
tą bawełną Nr 60 na założeniu 57 ocz. Deseń jest
tak wyraźny a robota znana, że nie widzimy po-
trzeby szczegółowego opisu.

Serwetka wykonana na lekkim materiale jedwabnym „pongé.”

Rycina Nr 15 w Bl. Nr 17. (Deseń odwrot. str. tabl. Nr XI,
fig. 63).

Serwetka 83 cent. wielkości w kwadrat, wyko-
nana na materiale jedwabnym koloru blade-
niebieskiego, otoczona szlakiem 13 cent. szer. z tegoż
samego materiału w kolorze żółtawo-brązowym.
Fig. 61 przedstawia deseń, wykonany rozmaitego
koloru jedwabiem, sznelą i nitką metalową. Nale-
ży deseń przenieść na materiał zaopatrzony pod-
szewką z szyrtingu i wykonać figurę wstążkową
ściegiem krzyżowym filozelą rozpołowioną w ko-
lorze brązowym i oliwkowym; inne figury podług
ryc. ścięciem płaskim jedwabiem w kilku cieniach
koloru terrakota, oliwkowego i seledynowego. Po-
jedyncze figury otoczyć częścią ścięciem gałązko-
wym jedwabiem koloru czarnego, częścią po-
dwojną złotą japońską nitką, mocowaną jedwa-
biem ścięciem obrzucanym. Wykończyć serwetkę
lekką jedwabną podszewką.

Futerał do okularów.

Rycina Nr 17 w Bl. Nr 17.

Futerał ze skóry koloru popielatego, nakła-
dany stalowemi figurami i z takimże łańcusz-
kiem i haczykiem do zawieszania przy pasku,
lub przy nacięciu wykonanym w staniku.

**Sukienka wykonana szydełkiem dla
dziecka od 1 — 2 lat.**

Rycina Nr 21 i 22 w Bl. Nr 17. (Krój odwr. str. tabl. Nr
VIII, fig. 51 i 52).

Sukienka wykonana włóczką „zefir“ koloru
białego, ścięciem tunetańskim, oraz odmianą te-
goż ścięgu. Dolny brzeg, rękawy i przednia
część otoczone falbanką wykonaną tąż samą
włóczką i haftowane białą pelą. Skrajać naj-

przód z muślinu figury 50 jedną część zło-
żoną wzdłuż środka, wykonać w tejsze nacięcie
oraz wskazane fałdy, mocując takowe dwukropek
na dwukropek i podług tego kroju rozpocząć su-
kienkę od dolnego brzegu na odpowiedniej ilości
oczek.—1 rząd: zwyczajnym tunetańskim ścięciem.
Odmiana 2-go rzędu polega na tem, że w kolei
idącej tam, zamiast przerabiać oczka w przedniej
prostokątnej żyłce przerabiać poniżej łańcuszko-
wych oczek. — W 3-cim rzędzie należy ocz. ujmow-
wać stosownie do kształtu sukienki. Powtórzyć
dwa razy dwa poprzednie rzędy, a potem jeszcze
raz rząd 2-gi. Muszki powinny być przestawiane
jak wskazuje ryc. Następnie wykonać część aż
do wcięcia, oraz do wskazanej linii przedniej czę-
ści, ścięciem zwyczajnym tunetańskim; przednią
część ścięciem odmiennym, stosując się zawsze do
formy z muślinu. Po zakończeniu ujmowania
oczek wykonywać robotę aż do paszek, potem
przednie części i plecy tam i napowrót i połączyć
sukienkę w tylnym brzegu od 51 do 52, pozostawia-
jąc odpowiedniej dług. rozperek. Rękawy wy-
konać podług fig. 51, rozpoczynając od brzegu ze-
wnętrznego na założeniu odpowiedniej ilości oczek.
Po wykonaniu takowych otoczyć paszki rzędem
pikotów, na które przerabiać ciągle naprzemian:
1 ścis. ocz. w następny rząd oczek, 1 pikot zło-
ny z 3 powietrznych oczek i 1 ści. ocz. w poprzed-
nie ścis. ocz. Wszyć rękawy od * do * w sposób,
ażeby zachodził jeden koniec na drugi, trafiając
w 55 na 55 paszki. Lewy tylny brzeg oraz wycię-
cie szyi otoczyć 1-ym rzędem ścis. ocz., w prawym
brzegu wykonać takież same 3 koleje, pozostawia-
jąc dziurki do zapinania. Następnie 1 rząd piko-
tów jak wyżej opisane. Guziki odpowiednie do
dziurek przyszyć do lewej połowy pleców. Wycię-
cie szyi otoczyć trzema kolejami jak następuje:—
1 kolej: ciągle naprzemian: 1 słup. w następ. ocz.,
1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić. — 2 kolej: 1 ścis. ocz.
w następ. ocz., * 1 pow. ocz., 5 słup. przedzielo-
nych 1 pow. ocz. w następ. pow. ocz., 1 pow. ocz.,
1 ścis. ocz. w następ. pow. ocz., od * powtórzyć.—
3 kolej: * 1 ścis. ocz. w następ. pow. ocz., 4 ścis.
ocz. przedzielone 1 pikotem w następ. 4 pojedyn-
cze pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następ. pow. ocz., te
ostatnie połączyć z najbliższem ścis. ocz., od * po-
wtórzyć, w końcu tejsze kolei otoczyć prawy tylny
brzeg koleją pikot. jak poprzednio. Falbankę
w dolnym brzegu wykonać po otoczeniu takowego
jedną koleją ścis. łańc. oczek jak następuje: — 1
kolej: ciągle naprzemian: 2 ścis. ocz. w najbliższe
2 ocz., 5 pow. ocz., 1 ocz. opuścić, w końcu 2 ścis.
łańc. ocz. w pierwsze 2 ścis. ocz. tejsze kolei. — 2
kolej: * 2 ścis. ocz. w najbliższe 2 z 5 pow. ocz., 3
ścis. ocz. w następ. pow. ocz., 2 ścis. ocz. w naj-
bliższe 2 pow. ocz., od * powtórzyć. — 3 kolej
do 5-ej wykonać jak kolej poprzednia. — 6 kole-
j: białą pelą ciągle naprzemian: 1 ścis. oczko
w najbliższe ocz., 1 pow. ocz. Falbankę zdobiacą
suknię wzdłuż linii, jak również rękawy, wyko-
nać 1 szą do 3-ej kolei, oraz 6-tą z poprzednio
opisanych kolei w odpowiednie oczka, a dla złą-
czenia falbany wykonać po odwrotnej stronie
naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowe z najbliż-
szych 3-ch ścis. oczek 3-ej kolei, 2 pow. ocz.;
w końcu jedno ścis. łańc. ocz. w pierwsze ścis.
ocz. tejsze kolei, na zakończenie przezroczysty
rząd słup. w około wycięcia szyi przewlec białą
jedwabną wstążeczkę 2 cent. szer. i przyszyć
we wcięciu pleców takąż wstążeczkę do wią-
zania

ny z 3 powietrznych oczek i 1 ści. ocz. w poprzed-
nie ścis. ocz. Wszyć rękawy od * do * w sposób,
ażeby zachodził jeden koniec na drugi, trafiając
w 55 na 55 paszki. Lewy tylny brzeg oraz wycię-
cie szyi otoczyć 1-ym rzędem ścis. ocz., w prawym
brzegu wykonać takież same 3 koleje, pozostawia-
jąc dziurki do zapinania. Następnie 1 rząd piko-
tów jak wyżej opisane. Guziki odpowiednie do
dziurek przyszyć do lewej połowy pleców. Wycię-
cie szyi otoczyć trzema kolejami jak następuje:—
1 kolej: ciągle naprzemian: 1 słup. w następ. ocz.,
1 pow. ocz., 1 ocz. opuścić. — 2 kolej: 1 ścis. ocz.
w następ. ocz., * 1 pow. ocz., 5 słup. przedzielo-
nych 1 pow. ocz. w następ. pow. ocz., 1 pow. ocz.,
1 ścis. ocz. w następ. pow. ocz., od * powtórzyć.—
3 kolej: * 1 ścis. ocz. w następ. pow. ocz., 4 ścis.
ocz. przedzielone 1 pikotem w następ. 4 pojedyn-
cze pow. ocz., 1 ścis. ocz. w następ. pow. ocz., te
ostatnie połączyć z najbliższem ścis. ocz., od * po-
wtórzyć, w końcu tejsze kolei otoczyć prawy tylny
brzeg koleją pikot. jak poprzednio. Falbankę
w dolnym brzegu wykonać po otoczeniu takowego
jedną koleją ścis. łańc. oczek jak następuje: — 1
kolej: ciągle naprzemian: 2 ścis. ocz. w najbliższe
2 ocz., 5 pow. ocz., 1 ocz. opuścić, w końcu 2 ścis.
łańc. ocz. w pierwsze 2 ścis. ocz. tejsze kolei. — 2
kolej: * 2 ścis. ocz. w najbliższe 2 z 5 pow. ocz., 3
ścis. ocz. w następ. pow. ocz., 2 ścis. ocz. w naj-
bliższe 2 pow. ocz., od * powtórzyć. — 3 kolej
do 5-ej wykonać jak kolej poprzednia. — 6 kole-
j: białą pelą ciągle naprzemian: 1 ścis. oczko
w najbliższe ocz., 1 pow. ocz. Falbankę zdobiacą
suknię wzdłuż linii, jak również rękawy, wyko-
nać 1 szą do 3-ej kolei, oraz 6-tą z poprzednio
opisanych kolei w odpowiednie oczka, a dla złą-
czenia falbany wykonać po odwrotnej stronie
naprzemian: 1 ścis. ocz. w środkowe z najbliż-
szych 3-ch ścis. oczek 3-ej kolei, 2 pow. ocz.;
w końcu jedno ścis. łańc. ocz. w pierwsze ścis.
ocz. tejsze kolei, na zakończenie przezroczysty
rząd słup. w około wycięcia szyi przewlec białą
jedwabną wstążeczkę 2 cent. szer. i przyszyć
we wcięciu pleców takąż wstążeczkę do wią-
zania

Poduszka w guście perskim.

Rycina Nr 25, 24 i 23 w Bl. Nr 17.

Poduszka wykonana nowym sposobem, naślą-
dającym robotę wiazaną „Smyrna“ o wiele od
tejsze łatwiejszą. Na tkaninie kanwowej dzieło-



Nr 3. Kapelusz z tiulu i koronki.

Nr 1. Kapelusz z tiulu i dżetu.
Nr 2. Okrycie z koronki (do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 17).

Nr 4. Kapelusz ze złotej koronkijjedwabnej gazy.

nej należy rząd za rzędem przyszywać frendzlą wełnianą 1½ c. szer. podług wzoru Nr 23. Frendzlę należy przyszywać równo po linii oznaczonej nitką. Rycina Nr 24 przedstawia kierunek nitki po odwrotnej stronie roboty.

Kapelusz z fantazyjnej pletni.

Rycina Nr 26 w Bl. Nr 17.

Kapelusz okrągły płaski z pletni słomianej przezroczystej koloru „bège,” podszyty tiulem tegoż koloru, bukietami fijołków w ciemniejszym i jaśniejszym kolorze, oraz piórem strusim koloru lila. Aksamitna wstążka 3 c. szer. służy do wiązania.

Kapelusz z bastu i pletni fantazyjnej.

Rycina Nr 27 w B Nr 17

Kapelusz z bardzo niską główką ze słomy fantazyjnej koloru brązowego, rondo zaś z bastu tegoż koloru. Przybranie stanowi wstążka jedwabna repsowa koloru żółtego 6½ c. szer., układana podług ryc. w pukle, pióra strusie koloru żółtego i brązowego, oraz w tychże kolorach



Nr 5. Serweta. Tasiemeczki „rokoko,” gałązkowym i płaskim ścięciem (do ryc. Nr 6—8).



Nr 6. Haftowana gałązka do serwety Nr 5 (wielkość naturalna).



Nr 7. Gałązka do serwety Nr 5.



Nr 10. Plecy paltocika do sukni Nr 11.



Nr 8. Gałązka do serwety Nr 5.

egreta umieszczona w tylnej części kapelusza. Wstążki do wiązania aksamitne brązowe 5 cent. szer.

Kapelusz z tiulu i dżetu.

Rycina Nr 1.

Foremka z cienkiego druciku w kształcie kapotki, pokryta tiulem haftowanym czarnymi perełkami i blaszkami z dżetu. Wianek z hyacenty otacza brzeg zewnętrzny. Przednią część zdobi pęk hyacenty i czarna egreta z piór. Aksamitna wstążka 3 cent. szer. koloru czarnego służy do wiązania.

Nr 9. Plecy do sukni Nr 11 (bez paltocika).

Płaszcz z koronki czarnej.

Rycina Nr 2 (do ryc. Nr 12 w Bl. Nr 17).

Płaszcz wykonany z talbany koronkowej 280 c. obwodu a 112 c. dł. wszytej w czarny atlasowy karezek. Przednie części 118 c. dł. a 31 c. szer. ułożone w fałdy i spinane na fałteczki. Przybranie stanowią dwie peleryny, każda 80 c. obwodu a 50 c. szer. Pasmanterya z perełek, kokarda z szarfą i frendzla z dżetu wykończają całość.

Kapelusz z tiulu i koronki.

Rycina Nr 3.

Foremka z drucików pokryta czarnym tiulem a następnie czarną koronką zmarszczoną na drucik 3 razy w równych odstępach otoczona. Przybranie z pasmanteryi z czarnego dżetu, kokarda z czarnej koronki ułożonej w kształcie wachlarza i egreta z czarnych piór. Wstążka aksamitna do wiązania 5 c. szer.

Kapelusz ze złotej koronki i jedwabnej gazy.

Rycina Nr 4.

Foremka z drucika złotego, pokryta złotym tiulem haftowanym w muszki a brzeg zewnętrzny ze złotej koronki. Końce do wiązania z gazy jedwabnej koloru lila 33 c. szer. a 2 m. dłu., bukiet z fijołków wykończają całość podług ryc.

Leniuszek z materiału trykotowego.

Rycina Nr 19 i 20. (Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 52—58).

Leniuszek z trykotu ponsowego. Skrajać fig. 52—58 po dwie części, połączyć takowe podług cyfr i zna



Nr 11. Suknia z bluzką i paltocikiem stosowna do podróży (do ryc. Nr 9 i 10). Krój i opis pierw. strona tablicy Nr I, fig. 1—19.

ków. W wieściu przyszyć wstążkę 3 cent. szer. Na maszynkę przyszyć w części przedniej a wzdłuż szwów na fiszbiny tasiemkę ponsową 2 c. szer., fiszbiny umocować długim ścięciem jedwabiem. Wykonać ramionczka podług ryc. w fig. 54 w miejscu oznaczonym * przyszyć guzik. Otoczyć koroneczką wykonaną na drutach $\frac{1}{2}$ c. szer.

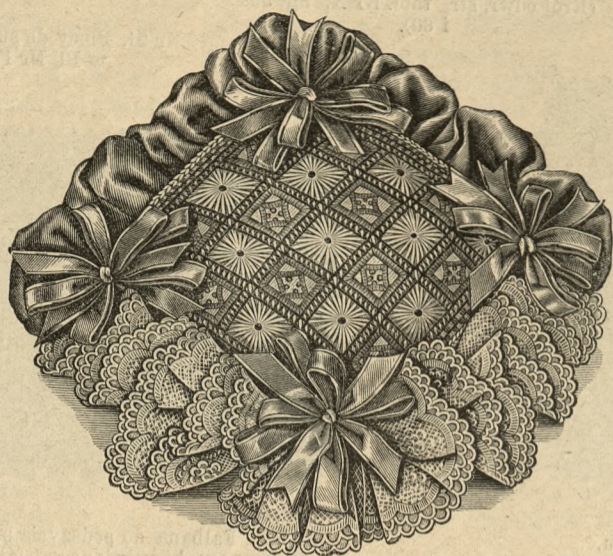
Falbana ochraniająca suknię z materiału bawełnianego gumowego

Rycina Nr 25.

Falbana do podszywania spódnicy i ochrony tejże, złożona ze szlaku 6 cent. szer. wycinanego na wzdłuż w ząbki i z falbany 8 cent. szer. układanej w kontrafałdy z materiału bawełnianego gumowego.



Nr 12. Fartuszek gospodarski z ozdobą, krzyżykowym ścięciem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 62-64).



Nr 13. Poduszczyk do szpilek z haftowanym wierzchem (do ryc. Nr 17).



Nr 14. Płaszcz podróżny z water-proofu (do ryc. Nr 29 w Bl. Nr 17).

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

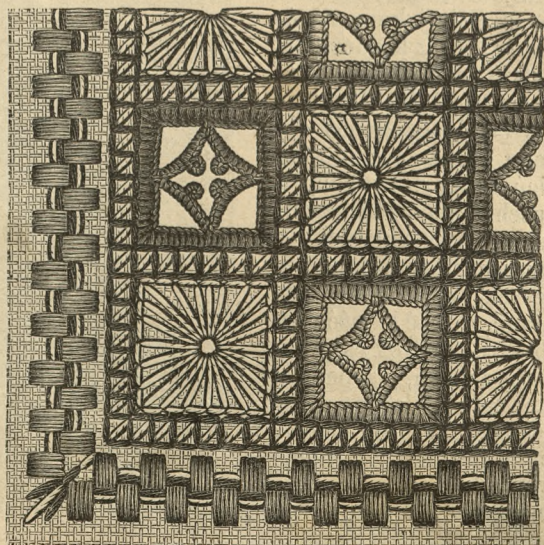
Kwiaty suszone na „saszetty“ do bielizny.

Od końca Kwietnia trzeba zacząć zbierać kwiaty, zaczynając od fijołków, następnie rezedy, których po $\frac{1}{4}$ funta zupełnie rozwiniętych wsypać w słoć szklany, przesypując prażoną solą, na którą na żelaznej patelni trzeba mięszać póty zwyczajną białą śniegówkę na ogniu aż się zrumieni i nie trzeszczeć nie będzie. Zrobić tej soli pół funta, 4 łuty wsypać na pierwsze kwiaty, wymiejszać, obwiązać papierem albuminowym (białkowanym), którego przepis patrz „Poradnik porządku“ wydanie 3, przez autorkę 365 obiadów, i postawić na słońcu. Następnie, gdy róże są w pełni roz-



Nr 15. Suknia z kaszmiru z haftowanym kaftaniczkiem i ozdobą z wstążki.

Nr 16. Suknia spacerowa z krepki gładkiej i w pasy z ozdobami ze wstążki.



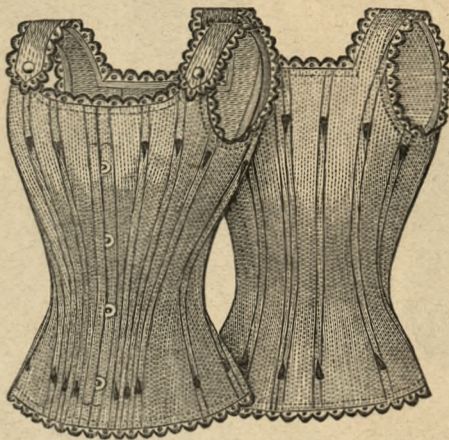
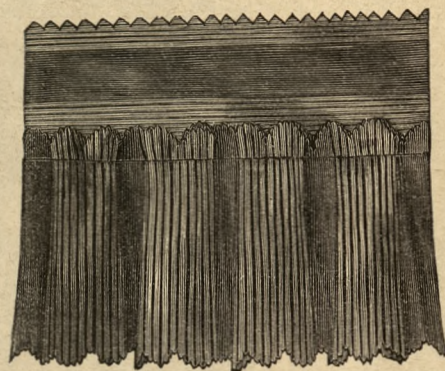
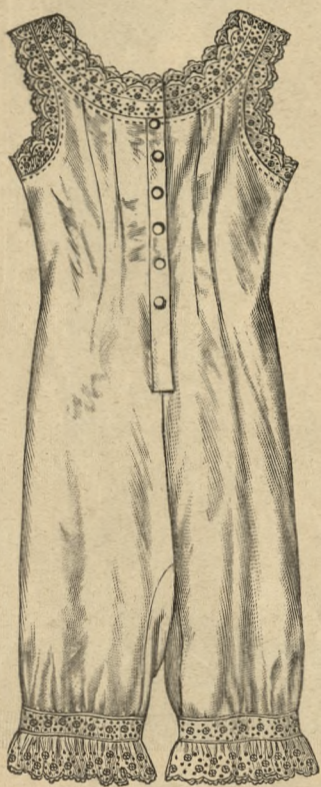
Nr 17. Czwarta część haffu do poduszki Nr 13 (wielkość naturalna).



Nr 23. Plecy do Nr 22.



Nr 24. Plecy do sukni Nr 28.

Nr 18. Czepek nocny formą siatki.
(Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 59
i 60).Nr 21. Plecy do sukni Nr 6
w Bl. Nr 17.Nr 19 i 20. Leniuszki z trykotu.
(Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 52—58).Nr 25. Falbana do podszycia sukien
z gumowanego bawełnianego materiału.Nr 22. Majtki damskie z koszula
(do ryc. Nr 23). Kr. odwr. str. tabl.
Nr VIII, fig. 48 i 49.

kwitu, wsypać pół funta liści różanych i znowu trochę soli przesypać. Jeżeli kto może dostać świeżego kwiatu pomarańczowego, wsypać go także zawsze razem z solą, przemieszać codziennie drewnianą łyżką, następnie dosypać trochę ponsowych gwoździków, kwiatu lawendy ciwierz lub nawet pół funta i zawsze solą przesywać i mieszać. W końcu dosypać dwa luty kwiatu cynamonowego, dwa luty korzenia fijołkowego i lut kardemonu, wszystkie te korzenie utłuczone na proszek. Trzymać kwiaty ciągle na słońcu obwiązane papierem, mieszać codziennie łyżką drewnianą, a gdy uschną wsypać tłuczone korzenie. Z uschniętych robić woreczki w formie poduszeczek, napelnione temi kwiatami, zeszyć i kłaść między bieliznę, a rok cały zachowają zapach, wsypane w wazon cały pokój napelnia zapachem. Papier listowy najlepiej perfumować bibułą używaną do pisania, nasyconą perfumami, następnie wysuszoną.

L. C.

Nr 27. Suknia z bluzką i paltocikiem dla młodych pań
(do ryc. Nr 26 Bl. bież., oraz do ryc. Nr 2 i 3 w Bl.
Nr 17).Nr 28. Suknia formą „princesse“ ozdobiona pletnią
wełnianą (do ryc. Nr 24). Krój i opis pierw. str.
tabl. Nr II, fig. 20—24.

Obiad na Niedziele

1. Zupa neapolitańska z makaronem.
2. Paszteciki w konchach.
3. Fricandeau z cielęciny.
4. Karczochy.
5. Tort chlebowy.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani N. N.

Na jeden dzień uroczystości ślubnej dozwolone jest zdjęcie żałoby, że jednak tańców w takim razie nie bywa, wszyscy mogą być ubrani strojnije, ale nie po balowemu, to jest bez krótkich rękawów i bez wygorsowania. Tak panna młoda jak drużyna mogą mieć kwiaty we włosach.



Nr 26. Plecy do Nr 27.

Odp. pani L. A. P.

Adres kapeluszy słomkowych: p. Kutno w Głogowcu W. Zakrzewska.

Odp. pani Zofii G.

Amonjak używa się do wszystkiego bez żadnego rozcieńczenia.

Odp. p. L. K.

Redakcyja nasza nie odmówi się stręczeniem bo na żądanie pani odesłałam do kantoru stręczeń W. Zakrzewskiej, niech się pani raczy udać po odpowiedź, ulica Mazowiecka Nr 16.

Odp. pani Marylli B.

Ważny i tyle cenny list pani w interesie produkcyj jedwabniczej odesłałam do zarządu towarzystwa jedwabniczego, dla przesłania jej potrzebnych informacji.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w Nr. dzisiejszym dołączoną była do zeszłego N-ru „Bluszczu“.

GOSPODARSTWO MIEJSKIE I WIEJSKIE.

Pogawędka gospodarcza.

Drzewa i krzewy owocowe. — Wina. — Masło i sery fałszowane. — Woda wrząca w Paryżu. — Ocet zdrowia pani Radewald i ocet 200 setny p. Włanda. — Ozonol, wytwór chemiczny na mole i zastępujący barbarzyńskie „Rigollo“.

Pomimo, iż w maju wiejskie moje czytelniczki więcej są ogrodem, niżeli gospodarstwem zajęte, a miejskie więcej spacerami niżeli kuchnią i nudzić się będą czytając moją miesięczną gadaninę; jednak ja od zwyczaju odstąpić nie mogę, i postaram się nowymi wiadomościami zainteresować moje czytelniczki.

Zawsze całą usilnością naszą było i jest wskazywać paniom naszym wiejskim drogę pracy, a przy niniejszym stroju ekonomicznym pracy zarobkowej czyli produkcyjnej.

Chcę dziś jako w miesiącu wiosennym przypomnieć o winach owocowych, któremi doprawdy wartoby zastąpić zagraniczne od których tak wysokie cło każą nam opłacać. Każdy prawie kraj ma swój narodowy napitek, my mając coraz więcej rozpowszechnioną hodowlę drzew wiśniowych i jabłkowych, oraz krzewów owocowych, jak agrest, porzeczki i maliny mamy produkt surowy z którego, stosując się do rad znakomitego naszego ogrodnika p. Jankowskiego, z których i ja czerpiąc podałam niektóre sposoby moich Jedynych praktycznych przepisów, możemy dodając pracę naszą wytworzyć obszerną gałęź przemysłu, dającego duży dochód. W całych Niemczech domy kolonistów otoczone są drzewami owocowymi, które na korce sprzedają. Na wzór tego powinniśmy rozwijać w ludzie naszym zamięszanie, do obsadzania chałup krzewami owocowymi i drzewami. Ponieważ dawniejszy chłop nasz jest dziś panem na swoim gruncie, należy więc do kobiety sąsiadującej z nim, tak kierować jego działalnością, aby i dla niego i dla nas przyniosła korzyść. Z większą produkcją owoców zwiększy się produkcja owych win zdrowych a taniach, nabierzemy do nich gustu i znajdą się w handlu, bo dziś o nie trudno, nawet i nie wiedzieć gdzie pytać chociaż na każdej wystawie u nas były medaljonowane i nagradzane; a wtedy niezawodnie wina nasze zajmą pierwsze miejsce po winach zagranicznych z gron winnych.

Drugą kwestyą, są sery, które w Maju i w Czerwcu, jako porze obfitującej w mleko, najczęściej się wyrabia. Na fałszowanie masła wszyscy mają u nas oczy zwrócone, i łatwo je rozpoznawają, o serach wiemy że u nas wiejscy producenci fałszują sery owcze, mieszając mleko owcze z kozim, często w tak znacznej ilości, że ledwie jakaś część mleka owczego w serze się znajduje; ztąd to powstaje taka trudność w dostaniu owego prawdziwego sera owczego tak powszechnie poszukiwanego.

Otóż w Ameryce, owej krainie honoru i prawdy, zbierają z mleka śmietankę do ostatniej kropli, a następnie robiąc sery ze słodkiego mleka, bo

z kwaśnego tylko u nas robią, dodają dla nadania serowi tłuszczu szmalcu wieprzowego zimnego rozrobionego, na drobnutkie kuleczki tak, aby tłuszcz jak w serze szwajcarskim wybitnie się oddzielał od sernika.

W Illinois, gdzie centryfugą oddzielają mleko od śmietanki co do kropli, dodają oleju z nasienia bawełny; policya od kilkunastu lat śledzi za tem ale nic nie pomaga, fabrykanci w ten sposób fabrykują amerykańskie „chaestery“.

Jedną z gospodarczych nowości Paryża jest woda gorąca, czyli inaczej wrząca o 60 — Reaamera. Otóż na podobieństwo owych maszynek, które za wrzuceniem 10 centimów lub 5 kopiejek wyrzucają tabletkę czekolady, cygaro lub papierosa, w Paryżu ukazują się naczynia blaszane, objętości litra, z wrzącą wodą. Oż to za ułatwienie życia, mianowicie kawalerskiego lub małych gospodarstw gdzie jak w Paryżu nie trzymają służby. A czy panie sływałyście, że bywa i jest ocet 200 setny, czyli mający 200 lat?

Ja dotąd wiem o wybournym occie zdrowia nagradzanym na kilku naszych wystawach, fabryki pani Radewald, Ulica Twarda Nr. 22. Ocet ten nabrany z czystej okowity, bez żadnych przymieszek szkodliwych, jest używany przez wszystkie pierwszorzędne firmy restauracyjne, a garniec takiego spirytusu octowego do którego dolewa się garniec wody, płaci się na miejscu w fabryce 50 kop.

No ale ocet stary 200 letni jest jak sędzę zrobiony z wina, bo ma aromat czysto węgierskiego wina, aromat ten jest tak wytworny, że doprawdy szkoda owego octu do sałaty, a jednak do jakiego stopnia podnosi on smak ryby, majonezu lub sałaty, ten uwierzy tylko, kto sam spróbuje. Ocet ten udało się nam wykryć w składzie kolonialnym pana Wilanda, Marszałkowska 82, i od właściciela dowiedzieliśmy się, że go kupił na licytacji pewnej znakomitej winiarni, co dowodzi, że arystokratyczne jego pochodzenie jest z wina węgierskiego. Butelka płaci się rs. 2.

Zapomnieliśmy zupełnie o „Ozonolu“, o którym lat temu kilka pisałam. Jest to wytwór chemiczny pana W. Czarnockiego, a jak jest wybourny; kilkuletnie moje doświadczenie niech będzie dowodem, służy do zniszczenia moli i wszystkich żyjątek, kładąc bibułę zmoczoną między rzeczy, lub kropiąc nieco dywany, portyery i meble. Dalej zastępuje z wielką korzyścią wizykatorye „Rigollo“ nie drażniąc tak strasznie, działanie jego jest dłuższe i znośniejsze, należy tylko gałganek złożony w kilkoro zmoczyć ciepłą wodą, a następnie skropić ozonolem i przyłożyć zamiast synopizmu. Plamy tłuste potarte ozonolem giną natychmiast, używany bywa nawet do drażniących ciepłych kąpiel, lejąc do jednej, dwie łyżki stołowe. Cena jest bardzo przystępna, a sprzedaż odbywa się w wynalazcy. Jerozolimska 27 m. 3.

W kwietniowej pogawędce mojej napisałam, że likiery robione z proszków po 15 kopiejek flakonik są nie dobre. Jako sprawozdawczyni smakowitych nowości wypróbowałam obecnie ogłoszane w pismach korzenie do likieru Chartreuse w kantorze przy ulicy Kotrzebue Nr 4, pod

szumną nazwą „Alperusetre“, i znalazłam je wyborne. W zasadzie likier „Chartreux“ jest nadzwyczaj podobny do Benedyktynki, oba pochodzą od zakonników włoskich. Wprawdzie ja biorę różne korzenie w ilości 6 gatunków, a szafran siódmy; tu zaś przeważa kolender, dalej kmin i w bardzo małej ilości sałwia i mięta, jest i odrobina sproszkowanego szafranu, który nadaje kolor likierowi. Korzenie podług mego przepisu do litra kosztują 15 kop. a francuzkie kosztują 50 kop., połączenie jednak jest bardzo dobre, należy tylko stosować się do przepisu francuzkiego, biorąc (litr) kwartę polską spirytusu, sądzę bowiem, iż nie znając naszych miar, źle zastosowano 20 części wiadra zamiast litra, powtóre, brać najmniej 2 funty cukru, jak to się zwykle bierze na kwartę spirytusu, na które nalać pół kwarty wody i gorący syrop rozebrać spirytusem jak wszystkie likiery.

Dodaję z własnego doświadczenia, że 12 godzin jest za krótko do wyciągnięcia aromatu z suchych korzeni, można je trzymać w spirytusie 18—20 godzin.

Biorąc spirytus z Rektyfikacji użyć 3 kwaterki 90 próby, bo jest mocniejszy od innych. L. C.

Jak utrzymywać przedmioty w lodowni.

Lodownie pokojowe należy koniecznie codziennie napełniać świeżym lodem, bo inaczej powietrze tam się psuje a przedmiot włożony zatechnie.

Co do dużych lodowni, to lód nawieziony tam w kawałach, po pewnym czasie łączy się z solą, to jest zlewa w jedną całkowitą masę, którą trzeba rozrąbywać, biorąc częściowo do użytku. Mięso i drób nie można kłaść bezpośrednio na lód, gdyż traci smak, lecz należy je owinać w papier aluminowy czyli białkowany i dopiero na lód położyć. Najlepiej je kłaść w przedsiónek lodowni, którego ściany i drzwi są pokryte grubą warstwą słomy. L. C.

Jaka rasa trzody ukazała się dotąd w hodowli najkorzystniejsza?

Mylne pojęcia, iż rasy trzody dzielą się na specjalności, że jedna daje mięso przerastałe tłuszczem, a druga osobno, usadza najprzód mięso, a na niem jednolitą słoninę, przyczyną są stałych wątpliwości, jakoby dotąd nie rozwiązanych, do powtarzania wciąż tych samych pytań, jaka rasa dla nas najodpowiedniejsza?

Mniemana zaś specjalność, nie tyczy się rasy, ale wieku.

W drugim roku życia, każda tuczna sztuka, wyda osobno mięso. osobno słoninę, od kartofli radszą, od grochu i jęczmienia ściślejszą, tylko, że

angielska przy udoskonalonym swym organizmie w krótszym czasie, czyli mniejszym tłuszczem, do tej samej wagi tuczności dojdzie, tak jak piec, lepiej postawiony, z mniejszej ilości paliwa, więcej wyda ciepła, niż wadliwy. Wczesna tuczność, okrągłość korpusu, zachęca do uważania za ledwie rocznego wieprzka za sztukę upasioną; po zabiciu nie znalazłszy tak grubej słoniny jak u trzyletniego karmnika, który sądząc z pozoru okrągłszy się nie wydawał; za doznany zawód obwiniamy rasę angielską, tymczasem to nie rasa winna, ale zawsze nieuważenie właściwości wieku.

Drugą, a bardzo ważną, ekonomiczną wyższością rasy angielskiej jest, iż od szóstego już miesiąca życia, wydaje wypukłe i smaczne szyneczki, słoninę trzy calową przerastała mięsem, słowem w najmłodszym wieku, kiedy nie miała czasu wiele kosztować, przedstawia materiał zdalny na domową potrzebę, lub wyrób masarski. Swinia zaś krajowa, prawie do roku, dostarczy nam tylko może mięsa chudego, i to w małej ilości, szynki płaskie i kościste, i twardą skórę, czyli nie daje użytkowej wartości, lepsze nawet żywienie w tym czasie, pozostaje bez widocznego działania na tuczność, a przeważnie wpływa na wzrost zwierzęcia.

Chów koni może mieć wieloraki kierunek, dzieli się na: wierzchowe, powozowe, robocze i t. d.

Bydło rogate, może być mleczne, mięsne i robocze ale trzoda chlewna? dostarczać tylko może mięsa i tłuszczu. Do tego celu najszybciej prowadzi rassa uszlachetniona, czyli angielska, a najwolniej krajowa, jako w swym chowie zaniedbana.

Ponieważ nie ma, i nie może być żadnej przyczyny do zmiany czyichkolwiek wymagań od trzody chlewnej, zadawalnianych zawsze tłuszczem i mięsem, zatem chów jej z tak ściśle przez samą naturę rzeczy określonym kierunkiem, nie zależy od różnorodności zapotrzebowań, lecz od warunków osobistych każdego hodowcy po szczególe.

Kwestya wyboru rasy powinna być postawiona w ten sposób: Kto rozporządza dobrze urządzonej chlewnią, przeznaczoną dobrą i pożywną karmę, posiada znajomość potrzeb zwierzęcych w ogóle, temu rassa angielska, za starania koło niej, większe przyniesie korzyści niż rassa krajowa.

Gdzie zaś trzoda pozbawiona ma być wszelkich wygod, narażona na mróz i głód, a miejscowe chęci, czy warunki, na inny chów zdobyć się nie mogą, tam zalecać można tylko krajową, która i wielką biedę przetrwa, wolno się wprowadzić rozwija, ale zawsze chociaż vegetując, dojdzie do pewnego wieku, w którym upaść się może.

Czyli, że starania i pewną intensywność w hodowli, oplaca tylko rassa angielska, jakkolwiekby ją zwano, w głodzie zaś i biedzie wynędza się, staje się gorszą, nędzniejszą, na wzroście zatrzymana, jak nigdy krajowa, ta chociaż istnieć może, tamta, i tego nie potrafi, wtedy i najlichszej strawy nie oplaci.

Gdyby postawione było pytanie, jaka rassa w zaniedbaniu, na najmniejsze straty nas narazi? należałoby zawsze odpowiedzieć, krajowa, — i to czysto krajowa.

Isabella Rye.

Ogórki świeże na zimę.

Sadząc kapustę, drugim rzędem sadzić ogórki, gdy się zawiązek zrobi, włożyć go w zawijającą się kapustę i dać tak rosnąć. W jesieni wyrznąć główkę razem z ogórkiem i ułożyć w piwnicy suchej na słomie a ogórki będą w zimie do użycia jak świeże.

L. C.

Zastosowanie wody zimnej i ciepłej do damskiej toalety.

W jednym z dzienników francuzkich czytamy uwagi Dra filozofii Maréchal, następującej treści:

Panie dbające o jak najdłuższe utrzymanie wdzięku, powinny posługiwać się tylko wodą zimną, która utrzymuje świeżość cery i nadaje ciału ten rodzaj jędrności, cechującej młodość.

Woda ciepła tak samo nie sprzyja skórze jak ubranie ciężkie, grube, puchy, materace puchowe wśród których ciało zbyt się pogrążając nie otrzymuje dostatecznej ilości powietrza.

Woda ciepła, wywiera wpływ rozpuszczający na włókna muskularne, nadaje ciału miękkość, rozlazłość, odcjmuje blask i uspasabia skórę do nieprzyjemnej wrażliwości na zmiany temperatury. Z tąd wynika konieczność, ażeby części ciała wystawione na działanie powietrza, były zahartowane przeciwko wszelkim jego zmianom.

Woda zimna jest najlepszym środkiem zapobiegającym przeciwko pierzchnięciu i pękaniu skóry, oraz przeciwko odmrożeniom i tysiącu drobnym, brzydkim i drażniącym uszkodzeniom, jakim podlega zbyt rozpieszczona skóra, a które nigdy nie zaemiły jej blasku i gładkości, skoro jest przyzwyczajoną do zimnej wody.

Zestawiwszy dwie twarze, z których jedna przywykła do wody zimnej, a druga do ciepłej, różnica będzie widoczną i nigdy wprawne oko, a mianowicie doktora omylić nie może.

Pierwsza będzie chorobliwej bladeści, często wpadająca w odcień popielaty lub żółty, straciła swoją jędrność a ustąpiła miejsca miękkości i bezbarwności, jeżeli zaś pozostało trochę kolorów, to tylko pod postacią czerwonej obrzękłości; skóra była popękana, opierzchnięta, pomarszczoną i już tylko częstem używaniem „coldkrem'u“ utrzymywać się daje.

Zwróćmy teraz uwagę na twarz przyzwyczajoną do codziennego opłukiwania wodą zimną: ścisłość skóry i świeżość jest olśniewającą, na jędrniejszą różę kwitną na policzkach, różę zdrowia. Pod skórą cyrkuluje krew pełna żywotności, co się uwidatnia nawet na cerze najbledszych matowych brunetek.

Kobiety dawnej Grecji i Rzymianki, odznaczały się urodą i usiłowały nie tylko utrzymać takową jak najdłużej ale o wiele możliwości upiększać. W tym celu, przedewszystkiem w zimnej wodzie szukały talizmanu ochronnego.

Otóż należy używać do codziennego użytku zimnej wody, dla wszystkich części ciała a mianowicie nie szepścić jej co do twarzy i rąk. Nie idzie tu o wodę zimną jak lód, ale o wodę temperatury pokojowej. Obmywania powinny mieć miejsce dwa razy na dzień—rano i wieczór.

Po obłaniu lub umyciu się wodą należy wycierać ciało cienkim ręcznikiem, a przedewszystkiem suchym, najlepszym w tym celu użytkiem jest miękka gąbka.

Nie należy nigdy pozostawić wody na ciele, ażeby sama osychała, zły ten zwyczaj spowodowywa tysiączne niedogodności.

Rasa Anglo-Saksonów, zawdzięcza po części rozwój swojej siły i piękności, obmywaniu zimną wodą. Oczyszcza ona skórę z codziennego pyłu, wzmacnia tkanki, hartuje przeciwko zmianom powietrza i zabezpiecza od chorób powstałych z powodu zaziębienia, a na cały organizm wywiera wpływ zbawienny swobody i lekkości.

Codziennie obmywanie twarzy mydłem, powinno być na drugim planie.

Wielka liczba osób, powstaje przeciwko temu, utrzymując że bez pomocy mydła uważałyby się za nieumyte. Doktor Marechal powtarza na zasadzie higienicznych doświadczeń „jak najmniej mydła.“ Kto zaś obejść się bez tego dodatku nie może, powinien używać mydła w najlepszym gatunku firm renomowanych.

Na zapytanie czy woda ciepła zupełnie ma być usunięta z gotowalni—odpowiada—nie! i radzi ciepłą wodą obmywać się raz lub dwa razy na miesiąc.

Woda ciepła i mydło odpowiednie są do użytku dla osób, których skóra zwykle jest tłustą, w takim razie uwalnia się skórę z zbyt grubej warstwy łojowatej, która przeszkadza swobodnej transpiracji.

Spartanie, zanurzali nowonarodzone dzieci w rece. Był to środek zbyt niebezpieczny.

Noworodki do dwóch lub trzech lat życia potrzebują ciepła, tak jak ptaki wyszłe z jajka potrzebują skrzydła matki. A więc dla małych dzieci radzi dr. Marechal oblewanie wodą ciepłą, ale nie gorącą i to obficie i często. Z oblewania zimną wodą należy się wstrzymać dopóki delikatny ich ustrój nie nabędzie dość wytrzymałości.

N. B.

Mydło żółciowe.

Jeden funt mydła dobrze zeszkobanego rozpuścić w 2 żółciach, zagotować i przecedzić przez płótno. Po przecedzeniu odparować, czyli gotować tak długo, dopóki nie zgęstnie tak, że wylana próbka na talerz lub szkło, skrzepnie; wtedy dodać 2 łuty miodu przasnego, 3 łuty cukru tartego, półtora łuta terpentyny weneckiej i 4 amoniaku, dobrze wymieszać i wyrobić, a następnie wylewać w formy z papieru, to jest pudełeczka papierowe, lub zwinięte tutki ze sztywnego papieru, włożone w piasek, aby się sztywno trzymały. Chociaż żółć wołowa przechowuje się długo bez zepsucia w butelce, dodawszy na jedną żółć łut eteru octowego i wymieszawszy dobrze, jednak mydło żółciowe jest w użyciu daleko lepsze.

L. C.

Sposób nadania białości żółtkłej bieliźnie.

Ćwierć funta chlorku nalać dwoma garncami wody i dobrze zagotować kilka razy. Gdy się płyn ustoi dobrze, a bieliźna zupełnie do czysta wyprana ma być nalana zimną wodą na noc, wtedy do każdej konewki tej wody wlać szklankę od piwa tego gotowanego płynu i nalać nim na noc bieliźnę. Rano wypłókać w czystej wodzie, postępując dalej jak zwykle z farbkowaniem i kromchaleniem.

L. C.

Doświadczenia praktyczne.

Przy wierceniu majonezu lub sosu majonezowego, często się oliwa z żółtkami warzy, szczególnie, gdy się nie ubija w bardzo chłodnym miejscu, co jest warunkiem niezbędnym, otóż wtedy trzeba wbić surowe żółtko a masa się zrówna, jeżeli jednak już jest dużo majonezu ubitego, to lepiej zrobić zaczęcie na osobnej miseczce, ubijając jedno żółtko z troszką musztardy, soli i oliwy, a następnie, gdy ta zaczyna gęstnieć, dobierać po łyżce owej zważonej masy, a poprawi się niezawodnie.

Robiąc makaron, na funt mąki brać cztery jaja, bo tyle funt mąki zabierze, jeżeli jaja małe to pięć a nawet sześć, szczególnie jeżeli mąka sucha.